

DNI KULTURY

Rozmowa z Henrykiem Worcellem

str. 3

OSWIATY

O „siłaczach” z Modliborzyc

str. 7

KSIĄŻKI I PRASY

O dziesięciolatce sceptycznie

str. 12

Atomowa wojna bogów

str. 6

ORZEŁ I RESZKA

str. 16

Kamena

LUBLIN 11 V.1980 NR 10 (70)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

9 MAJA 1945

Zygmunt Mańkowski

NAJBARDZIEJ wiernie i sugestywnie utrwaliły to taśmy filmowe. Świat szalał ze szczęścia. Na ruinach Reichstagu żołnierze radzieccy i polscy strzelali w powietrze, ściskali się i wywijali holubce. Na ulicach Paryża wielkie korowody radosnych ludzi śpiewały Marsyliankę i wiwatowały na cześć De Gaulle'a. W Moskwie oddano salwy honorowe, a wkrótce odbyła się wielka parada wojskowa, w toku której pod nogi Stalina rzucono dziesiątki hitlerowskich sztandarów... Nie sposób dziś w pełni odtworzyć uczuć, jakie towarzyszyły całemu światu w tej radosnej i doniosłej chwili. Jeszcze na Dalekim Wschodzie trwali na pozycjach fanatyczni Japończycy, lecz stało się jasne, że owo wielkie dzie-

jowe spectaculum chyli się ku końcowi. Zdumiewający był uniwersalizm odczuć. Wszyscy odczuli ulgę: zwycięzcy i pokonani; ci, którzy na wojnie zyskali, i ci, co na niej stracili.

A oto uświadomione później komponenty tego stanu psychicznego: w wojnie wzięło udział 61 państw (spośród 67 wówczas istniejących) z ludnością liczącą około 1700 milionów, co stanowiło 80 procent ogółu mieszkańców globu ziemskiego. Ogromne fronty przetoczyły się przez ziemię ponad 40 państw. Pod broń powołano ponad 100 milionów ludzi. Bezpośrednie wydatki wojenne oszacowano na

Dokończenie na str. 4-5

DZIENNIK AMERYKAŃSKI (I)

Lądowanie w Nowym Jorku

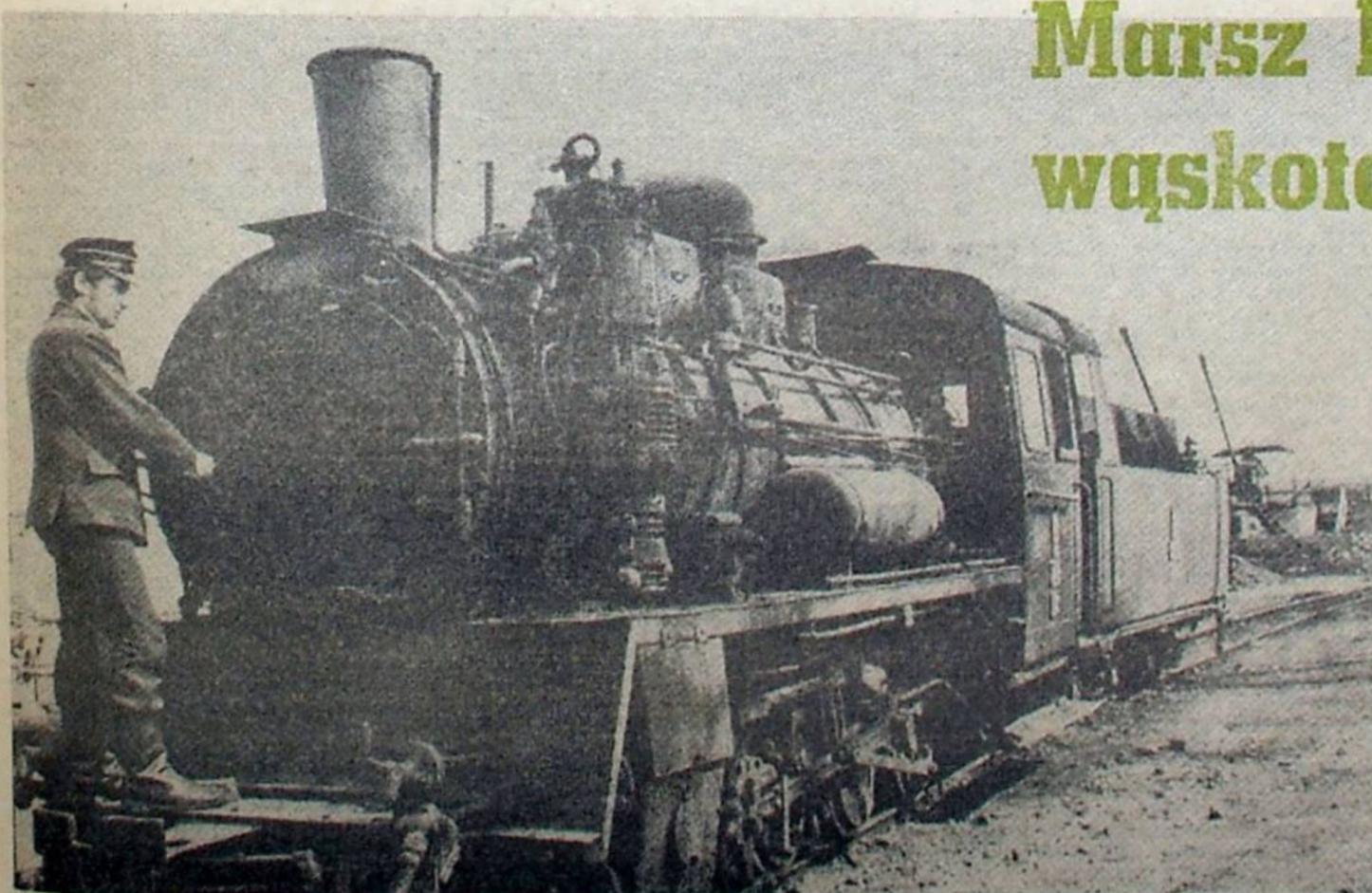
Ireneusz J. Kamiński

31 STYCZNIA 1980 roku o godzinie dziewiątej rano samolot z wizerunkiem zatroskanej Marii Curie-Skłodowskiej na kadłubie odrywa się od pasa startowego Okęcia, kieruje na północ, osiąga wysokość 8000 metrów, aby po 120 minutach skręcić na zachód, do nowojorskiego celu mojej podróży, który osiągnę za następne osiem godzin. Lot przebiega spokojnie, pasażerowie drzemają, niektórzy czytają prasę, inni

popijają piwo okocimskie lub łyżnią, płacąc za 100 gramów 70 centów (mogą być franki, marki, guldeny, czy jeny). Wszystko odbywa się więc zwyczajnie, banalnie, rutynowo.

Ale ja się czuję nieswojo, mimo że na uspokojenie biorę fistaszki i piwo, „Trybunę Ludu” i „Słowo

Dokończenie na str. 4-5



Marsz kolejek wąskotorowych

Mirosław Derecki

KIEDY będziecie przejeżdżali pociągiem przez stację Nałęczów, zwróćcie uwagę na niewielki drewniany budyneczek, budkę właściwie, nieopodal gmachu dworcowego; ma na dachu dobrze widoczną tablicę z dumnie czerniejącym się napisem — „Nałęczów Wąski”. Tutaj zatrzymują się pociągi dla ludzi, którym się nie spieszy...

Na wąziutkich torach stacyjki manewrują składy mini-pociągów: wagony osobowe i towarowe ciągnięte przez kolorowe, dieslowskie lokomotywy. Jeżeli wsiądziecie do takiego pociągu, powiezie was cichym, nieskorym truchtem ku Wąwołnicy, a następnie, przecinając skraj pachnącej mazierną i wrzosami Równiny

Dokończenie na str. 8-9

WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ (1886 - 1980)



Postać Profesora wspominają pracownicy nauki Instytutu Filozofii i Socjologii UMCS w Lublinie: dr Ewa Borowiecka, prof. dr hab. Zdzisław Cackowski i doc. dr hab. Bohdan Dziemidok.

DOBRZE znana popularność książek Profesora Władysława Tatarkiewicza i ich rola w kulturze światowej skłania, aby postawić pytanie: jak są napisane „Historia filozofii” i „Historia estetyki”, „O szczęściu” i „Dzieje szczę-

ciu pojęć”? Jakim cechem zawdzięczają one swoje wielkie znaczenie?

Wiele własności tych dzieł zasługuje na uwagę z punktu widzenia metodologii nauk historycznych. Ale dzieła Profesora Tatarkiewicza mają też cechy charakterystyczne jednocześnie człowieka, który je napisał.

Czytelnicy „Historii filozofii” dawno zauważyli, że każdy system, każdy myśliciel przedstawiony jest w niej tak, jakby Tatarkiewicz był właśnie jego zwolennikiem. Podobne zjawisko można było zaobserwować także w pracach z historii sztuki, a potem w „Historii estetyki”. Każdy system filozoficzny, kierunek sztuki czy pogląd estetyczny jest u Tatarkiewicza przedstawiony tak, jakby nie miał słabych stron, jakby zawierał same tylko osiągnięcia. Profesor Tatarkiewicz unikał krytyki najdziwniejszych — nawet poglądów, pisał tak, że nie można było się domyśleć, które z nich są Mu bliższe niż inne.

Nie była to jednak obojętność dla wysiłków filozofów, nie był to także brak przekonania czy upodobania. Postawa Profesora Tatarkiewicza wynikała z przekonania o trudności filozofii, z — jak pisał — niedostatecznej wiary w filozofię i w to, że można oczekiwać od niej rozwiązań ostatecznych. Bardziej niż od poszczególnych systemów — wyjaśnienia świata spodziewał się od zespołu różnorodnych poglądów nagromadzonych w dziejach filozofii. Tatarkiewicz żywił przekonanie o wielorakości świata i ludzi,

dlatego też sądził, że różnorodność wizji świata jest usprawiedliwiona. Podobnie w estetyce: był zdania, że sztuka jest wielopostaciowa i że jest wiele rodzajów wartości — toteż systemy estetyczne przedstawiał tak samo, jak światopoglądy filozofów.

Te systemy i światopoglądy budziły Jego ciekawość, ciekawość, o której pisał, że jest poważną sprężyną porządku ludzkich w różnych dziedzinach życia. Ciekawość powodowała, że chciał „na podstawie historii wyjaśnić sobie, jakie są możliwości tego świata, możliwości myśli i twórczości”. Rozpoznałszy te możliwości, odkrywał w nich Tatarkiewicz prawdy częściowe. I był zdania, że historyk lepiej zrobi, zwracając uwagę na te właśnie osiągnięcia, niż na błędy, na to, co dobre, niż na to, co złe.

W ten sposób zaleta moralna — życzliwość — znalazła się wśród cech warsztatu Uczzonego. Profesor Tatarkiewicz pisał: „Z zalet moralnych cenię nade wszystko życzliwość ludzi dla ludzi, a nie lubię zawiści. (...) Cenię zrozumienie dla stanowiska przeciwników. Nie lubię tych, co tylko o myślących podobnie do nich sądzą, że myślą oni słusznie, postępowo, patriotycznie”. Uważał też, że życzliwość jest ważną zaletą historyka. Podkreślał ją u innych badaczy, sam się nią kierował, cieszył się, gdy ją dostrzegano w Jego pracach.

Życzliwością obdarzał nie tylko filozofów, estetyków czy artystów, ale — przede wszystkim — spotykanych

PIERWSZY raz spotkałem się z Nim osobiście chyba dopiero w roku 1972, gdy gościł w naszym Instytucie wraz z prof. Tadeuszem Kotarbińskim. Na pytanie: „Kawa — herbata?” odpowiedział: „Kawa, kawa, herbatę na starość będą pił”.

W rozmowie z Nim czułem zwykłość, prostotę, rzekłbym nawet — prozaiczność. Cieszył się swym pobytem w Lublinie, bo — jak mówił — dostrzegał i odczuwał tu życzliwość ludzi.

Mówił o sobie przy tym pierwszym spotkaniu: „Na szczęście, proszę pana, ja nie psuję się jak ryba, ale odwrotnie”. Miał na myśli ograniczoną sprawność swych nóg i wysoką sprawność — niezakłóconą do końca — swego umysłu.

Mówił też wtedy o tym, jak poczęła się „Historia filozofii”. Zwyczajnie, prozaicznie: od propozycji wydawcy, który dostrzegł był społeczną potrzebę

w tym zakresie. Równocześnie i w taki sam sposób — Jego zdaniem — poczęły się dwa inne doniosłe dzieła naszej kultury: „Psychologia” Władysława Witwickiego oraz „Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk” Tadeusza Kotarbińskiego.

Wydaje mi się, że patetyczność, wzniosłość, stylizacja nie mieściły się w Jego charakterze, nie pasowały i nie pasowały do Niego. Miał prosty styl bycia, myślenia i mówienia. Językiem posługiwał się ostro, precyzyjnie, ale nie był analitykiem rozdzielającym „włos na czworo”; najważniejsze było chyba dla Niego precyzyjne wyznaczenie z a s a d n i c z y c h granic rzeczy i idei; tu był mistrzem.

Przed niespełna dwoma laty spotkałem Go ostatni raz w Jabłonie. Miał tam referat poświęcony problematyce twórczości. Wyzwał wówczas, że krępuje Go słowo „twórczość”. Powiedział, że woli mówić o solidnej,

dobrej robocie, o porządnie wykonywanym rzemiośle, którego efektem bywa często oryginalność, nowa rzecz, nowa myśl, czy forma nowa.

Mam wrażenie, że w Jego sposobie bycia i myślenia tkwiła ogromna doza zdrowego rozsądku. Nie stworzył żadnego „izm”, i chyba nie starał się „izmów” tworzyć. Różnił się pod tym względem od większości tych, którzy za filozofów uchodzą. Był wielkim znawcą filozofii, doskonałym systematykiem filozoficznych idei, a przez to wielkim nauczycielem filozofii.

Zgromił mnie przy ostatnim spotkaniu, gdy na pytanie: „Co słychać?” odpowiedziałem narzekaniem na nadmiar roboty. „Nigdy za dużo, nigdy za mało roboty” — powiedział. Oczywiście — wyjaśnił — roboty własnej, takiej, którą się lubi, do której się jest przygotowanym. Powiedział też przy tym spotkaniu, że czuje się szczęśliwy: „Wszyscy mnie potrzebują, wszędzie mnie tłumaczą”. Podobno w takim

BARDZO cenię dorobek naukowy i pedagogiczny Profesora Władysława Tatarkiewicza. Jest On autentycznym współtwórcą naszej kultury narodowej, bo zostawił trwały ślad swej aktywności twórczej w dziełach własnych, w pracach swych uczniów oraz w umysłach kilku pokoleń inteligencji polskiej.

Teraz jednak, kiedy myślę o Nim po Jego śmierci, obraz Tatarkiewicza — człowieka góruje nad wizerunkiem uczzonego, autora znakomych książek i rozpraw. Najpierw poznałem Jego prace, potem Jego samego. To prawda, że człowiek wyraża siebie w tym, co robi, ale przecież nie zawsze w sposób pełny. Bywa bowiem tak, że istnieje rozdźwięk lub nawet sprzeczność między książkami, a osobowością ich autora. Czasem sam autor jest ciekawszy od swych prac, kiedy indziej odwrotnie, i możemy przeżyć rozczarowanie, poznawszy autora osobiście, bo Jego publikacje są ciekawe i piękne, on sam zaś znacznie mniej.

W przypadku Władysława Tatarkiewicza takiego rozdźwięku nie było. Osobowość Jego była równie interesująca i piękna jak Jego prace.

Bywa też czasem tak, że zdolności pisarskie nie idą w parze ze zdolnościami nauczycielskimi. Zdarzają się świetni wykładowcy, pozbawieni talentów pisarskich oraz uczeni wielkiej klasy, którzy nie umieją dobrze wykladać.

I znowu w przypadku Autora „Skupienia i marzenia” można mówić o całkowitej współmierności i harmonii między kunsztem pisarskim i talentem

wykładowcy. Trudno powiedzieć, w której z tych dziedzin był lepszy, ale każdy, kto Go słuchał i czytał, przyzna, że w obu był znakomity. W obu też dbał o jasność myśli, logikę wywodu, precyzję analizy i piękno języka.

Zdarza się wreszcie tak, że istnieje sprzeczność między poglądami jakiegoś filozofa, a jego własnym życiem, bo co innego deklaruje lub zaleca innym, a co innego robi w rzeczywistości sam.

I pod tym względem życie i twórczość Profesora stanowiły harmonijną całość. Był to Człowiek, który nie tylko analizował piękno jako teoretyk i historyk bardzo na piękno wrażliwy, lecz także sam uosabiał zewnętrznie i wewnętrznie piękno. Nie tylko potrafił mądrze pisać o szczęściu, ale — co więcej — sam posiadał trudną sztukę szczęśliwego życia. Nie tylko głosił pochwałę życzliwości i dezaprobatę dla zawiści, ale sam do końca dni swoich zachował niezwykłą życzliwość do ludzi i świata.

Nasza osobista znajomość i korespondencja (udało mi się zachować przeszło 30 Jego listów) rozpoczęła się na wiosnę 1964 r. Bliżej mogłem Go poznać dopiero w roku akademickim 1967/68, w ciągu sześciu miesięcy równoczesnego pobytu na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley (gościłem tam wówczas jako stypendysta Fundacji Forda). Dla Profesora była to druga dłuższa wizyta w USA (pierwszy raz przebywał tam w roku 1962), ale debiut w prowadzeniu systematycznych zajęć dydaktycznych ze studentami amerykańskimi: wykładów z historii estetyki oraz seminarium z etyki poświęconego problematyce szczęścia. Dla mnie stanowiło to niezwykle

szczęśliwy zbieg okoliczności, mogłem wreszcie wysłuchać Jego wykładów. Wszystko wskazywało na to, że dla Niego będzie to trudny „debiut” dydaktyczny. Miał już 81 lat i poważne kłopoty ze słuchem, poza tym sam uważał, że angielski zna gorzej niż grekę, łacinę, francuski, niemiecki, rosyjski, włoski. Amerykańscy studenci, mający możliwość wybierania przedmiotów i wykładowców, mogli, teoretycznie rzecz biorąc, nie zaakceptować nieznanego im starszego profesora z Polski. Mógł On sam także nie znieść szokujących dla starszego pokolenia obyczajów ówczesnej młodzieży. Rok akademicki 1967/68 był czasem hippisów i kontestacji. Okolica San Francisco i Berkeley stanowiła jedno z największych skupisk hippisów, a Uniwersytet w Berkeley uważano za główny ośrodek radykalizmu politycznego i obyczajowego. Obawy okazały się jednak płonne. Władysław Tatarkiewicz w krótkim czasie pozyskał sobie wiernych słuchaczy. Przychodzili na Jego wykłady z dziećmi, z psami, przedziwnie poubranymi lub nadzy do pasa i bosi. Choć pozornie wszystko ich dzieliło, po kilku godzinach wykładu zapanowała między nimi zupełnie dobra komitawa i prawie pełne zrozumienie wzajemne. Profesor nie tylko wolny był od apriorycznych uprzedzeń i niechęci, ale co więcej wykazał wiele życzliwego zainteresowania dla tego, tak odmiennego dla niego świata. Nie wystarczyły Mu zajęcia dydaktyczne i obserwacje z miasteczka uniwersyteckiego, wieczorami wybierał się na spacer wzdłuż Telegraph Avenue, która była wtedy jedną z najbarwniejszych ulic świata. Pani Tatarkiewiczowa rzadko towarzyszyła Mężowi w tych wieczornych wyprawach i mo-

w życiu ludzi. Wszyscy, którzy Go wspominają, świadczą o tym. Odnosił się do ludzi z uwagą i prostą uprzejmością. Kiedy Go poznałem, był człowiekiem przeszło osiemdziesięcioletnim i sławnym uczonym, ja zaś — jedną z wielu szeregowych pracowników Instytutu, w którym gościł. Mimo to, gdy Go spotykałem później, nie musiałam Mu się przypominać. Pamiętał mnie i dokładnie pamiętał poprzednie spotkania. Na listy odpowiadał natychmiast i z wytworną grzecznością. A gdy raz zdarzyła się, z powodu pilnej korekty, kilkudniowa zwłoka, uznał za stosowne to wyjaśnić. Napisałam o Jego twórczości kilka prac, które przyjmował z życzliwością znacznie przekraczającą moje zasługi. Był rad z zainteresowania swoim dziełem, ale nigdy nie sugerował punktów widzenia, ani — tym mniej — ocen.

W ogóle mało zajmował się zaletami czy tylko właściwościami swoich dzieł. Całą uwagę kierował na przedmiot, na to, aby opisać go rzetelnie i wykryć wszystkie jego dobre strony. Widać to m. in. w stylu — prostym, jasnym i skromnym, a dzięki temu właśnie zdolnym do udźwignięcia wielkiej wiedzy i do rozjaśnienia zawiłych problemów. Dopiero w ostatnich latach i niejako na marginesie Profesora Tatarkiewicza określił pewne cechy swojej twórczości, ujawnił swoje przekonania i upodobania. Ale i tak charakterystykę i cenę Jego dzieła sporządzili najpierw inni.

Dzieło Profesora Władysława Tatarkiewicza uczy filozofii i estetyki, daje przykład odpowiedzialnego używania pojęć i jasnego stawiania zagadnień. Uczy także szacunku dla ludzi i twórczej myśli, uczy życzliwości i rzetelności.

Ewa Borowiecka

dobrym samopoczuciu dotrwał do końca swego życia. Tak, to wielkie szczęście i wielka sztuka (zapewne także rezultat rzetelnego wysiłku, rzetelnej pracy): przeżyć 94 lata i umrzeć młodo, mając do ostatnich dni żywe poczucie więzi z ludźmi i poczucie satysfakcji stąd płynące.

Po śmierci Romana Ingardena Władysław Tatarkiewicz rozpoczął swe wspomnienie słowami: Nie może już mówić sam za siebie: my możemy mówić o Nim, za Niego, w Jego imieniu... Zapewne, do Jego imienia będziemy się często odwoływali; stworzył taką potrzebę, stworzył tę naszą potrzebę swoim doniosłym dziełem...

Te słowa możemy odnieść do samego Władysława Tatarkiewicza. Mając prawo do wspierania się Jego imieniem, baczmy musimy, aby go nie używać w złej sprawie i nie nadużywać w dobrej.

Zdzisław Cackowski

że dlatego ja właśnie miałem szczęście dość często w nich uczestniczyć.

Kiedy po jedenastu latach znowu znalazłem się w Berkeley (w 1979 r.), miasteczko uniwersyteckie i Telegraph Av. wciąż mi przypominały Profesora. Ostatni raz widziałem Go w grudniu 1979 r. w Jego mieszkaniu na Chocimskiej. Pokazywał mi nowe, zagraniczne wydania swych książek, był pełen radości życia i życzliwego zainteresowania wspólnymi znajomymi, planami naukowymi swych młodszych kolegów i uczniów. Nic nie utracił ze swego wdzięku osobistego i kunsztu prowadzenia rozmowy. Poczucie dodatniego bilansu życiowego pomagało Mu dostrzegać uroki swego wieku. Posiadał niezwykle trudną i rzadką sztukę pięknego starzenia się. Takim Go zachowałem w swojej pamięci.

Bohdan Dziemidok

Serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

składa koledze Bronisławowi Kowalskiemu Kolegium i zespół redakcji „Kamień”

— Wszyscy pytają o Grand Hotel, a „Zaklęte rewiry”?

— Tak i zwykle na początku wywiadu.

— Włec?

— Coś mi mówiło, że nie powinienem pisać w Grand Hotelu. Zaczynałem tam po pracy, powstawały szkice opowiadań, ale wnet biegłem do kawiarni Savoy'u i zasiadałem do pisania. Było w tym jednak sporo utalentowanego szumu. To pierwsze pisanie, w którym istniała głównie przyroda, szło jakby innym torem niż moje ówczesne życie pikolaka, a potem kelnera.

— Może zbyt wczesna ucieśka z rodzinnej wsi pod Tarnowem, z Brzeżnicy, gdzie ojcowska scheda była za mała, może pobyt szesnastoletniego chłopaka w Krakowie po czwartej klasie gimnazjum — może to przywoływało naturę do pierwszych utworów?

— Zapewne, ale i zbyt wielka bliskość tego, co przeżyłem. Byłem świadom swego upodlenia i upokorzenia. Równocześnie stałem się samoukiem. Czego ja wtedy nie czytałem! Wszystko z modnych filozofów. Przy stolikach w kawiarni Grandu zasiadali tacy ludzie jak: Osterwa, Jaracz, Dunikowski, Sichulski, Dąbrowski, Dobija, Jachimcycy, Choromański, Nowakowski, red. Flach, Heinrich, chirurg Glatzel, wielu ich tam przychodziło. A wśród nich aż huczało od spraw, których przedtem nie znałem. Modny był Freud i jego teoria snów, licznie doszukiwano się ich znaczenia na własnych przykładach, analizowano życiorysy laureatów Nobla właśnie od tej strony. Istniała we mnie niechęć do systematycznej nauki, ale sama nauka była dla mnie cenną wartością. Uciekałem do historii, czytałem dużo, połykałem książki, do wielu autorów odnosiłem się już jednak nieufnie. Jeśli chodzi o filozofów, rosła we mnie niechęć do Koła Wiedeńskiego, byłem też przekonany, że logika to już nie filozofia. Freud mnie fascynował, bo jego teorie łączyły się tak bardzo z osobistym życiem człowieka. Pragnąłem, ale nie potrafiłem tej wiedzy poszufladkować. Może to i dobrze? Przez to i potem unikałem chyba szablonu. W okresie przed powstaniem „Zaklętych rewirów” najbardziej cieszyła mnie odkrywczość własna, a potem radość potwierdzenia własnych myśli w książkach lub w tych dysputach ówczesnej bohemy przy kawiarnianych stolikach. Niekiedy pragnąłem się wtrącić, z czymś się zgodzić lub czemuś zaprzeczyć — bo oni mówili, mówili, ja to słyszałem, trzymałem się z bliska — no, ale wtedy nie było do pomyślenia, aby kelner mógł zabierać głos i to przy tak znakomitych gościach.

— Zapisal pan jednak pod datą z 30 maja 1964 r. wspomnienie w dzienniku „Problem przypadków... Przepadkowo w swoim czasie, pracując w kawiarni Grand, nawiązałem rozmowę z Michałem Choromańskim. Czy napisałbym „Zaklęte rewiry”, gdyby nie zachęta ze strony Choromańskiego? Czy spotkałbym Marię Kasprowicową i zamieszkałbym na Harendzie, gdyby mnie tam nie wprowadził Choromański? Odważył się jednak kelner Tadeusz Kurtyka na rozmowę z wziętym już pisarzem?

— Tak, odważyłem się. Wiedziałem, że interesuje go kelner, który czyta Platona, Renana, Nietzschego, Maeterlincka, Bergsona, wspomnianego Freuda, a również dzieła astronomiczne i przyrodnicze. W przeciwieństwie do innych, choćby do Zygmunta Nowakowskiego, nie potraktował mnie zdawkowo i z laskawością. Przeciwnie, od razu stawiał wyższe wymagania artystyczne i treściowe, on namówił mnie do pisania powieści z życia kelnerów, a tworzyłem miały być, i tak się stało, moje własne przeżycia.

— Nie był to jednak zwykły pamiętnik. Autobiografia, autopsja, ale przetworzona według wszelkich reguł pisarskich powieść.

— Tak, ale było to z początku raczej instynktowne. W końcu gruby rękopis z tytułem „Zaklęte rewiry hotelu Pacyfik” był gotowy. Choromański poznawał rzecz we fragmentach, wreszcie miał ją w całości. Tytuł skrócił o połowę. Przewidywał moje przyszłe konflikty z otoczeniem, zaproponował poszukanie pseudonimu, nazwiska autorskiego. Mielśmy akurat przed sobą książkę Bronistawa Limanowskiego o Stanisławie Gabrieli Worcellu. Pan Michał zawołał: o, to będzie dobre!

— Ale tylko w książkach, w publikacjach. Dówód osobisty nic o tym nie mówił i nie mówi. Zresztą, przyjęcie pseudonimu okazało się zawodne. I tak środowisko kelnerskie wnet wykryło, kto tę powieść naprawdę napisał. Był to rok 1938, a do dziś — co jest chyba i dobre — o obojętności ze strony dawnych i młodszych kolegów mówić nie można.

— Czy zgodził się pan ze stwierdzeniem, że cała pańska twórczość, już od tej pierwszej książki, jest pisarską interwencją w otaczające życie?

— Tak, oczywiście, to, co mnie otaczało, zawsze było inspiracją do napisania kolejnych utworów.

— W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych pisał pan do tygodnika społeczno-literackiego „Wiśń” także raporty z rampy kolejowej, z parafii, z gromady...

— Nie mieszajmy tego z literaturą. Były to interwencje doraźne ze wsi Skrzynka, w której po wojnie osiedliliśmy się z żoną i objęliśmy dziesięciohektarowe gospodarstwo i z Trzebieszowic...

— Był tam pan... właściwie łatwiej byłoby powiedzieć, czym pan w tej gromadzie nie był. Był pan bibliotekarzem, chodził pan ponoć nawet po domach z książkami, wywieszał przed kościołem ogłoszenia o nowościach. Pracował pan przy rampie, ładując tam ziemiaki i zboże, w PGR jako bufetowy (chwilowy powrót do pierwotnego zawodu, ale już w warunkach wiejskiej gospody), także jako drwal oraz instruktor k.o... Nie było więc wtedy życie zbyt laskawe dla pisarza Henryka Worcella, a Tadeusz Kurtyka ponosił tego konsekwencje. Jeden z dotychczasowych krytyków, w piśmie zapowiedział mu na trwałe oko, co za wiele widział, oko korespondenta terenowego.

— Zona opisała to wszystko w swoim pamiętniku. Do tego wycięcia można by dodać, że byliśmy zbieraczami owoców dzikiej róży i bzu, aby się tylko utrzymać. A z moim napastnikiem, przez którego tyle wycierpiałem, widywaliśmy się nadal. Nie umiem pamiętać doznanego zła. Również po powrocie z Miśni, z robót przymusowych i osiedlenia się pod Łądkiem Zdrojem, nie potrafił mi się z Antoniną traktować Niemców wyłącznie jako pokonanych.

— Kerna z „Najtrudniejszego języka świata” pojął to jako słabość. Napisał pan jednak wcześniej „Odwet”.

— Nie jest to niezgodne z tym, co powiedziałem. Było to zresztą jak gdyby moje przymierzanie się do „Najtrudniejszego języka świata”, ale i do „Parafian”. Zaraz po wojnie zresztą nie myślałem jak pisarz... Ja naprawdę osiedliłem się na roli nie dla literackiej penetracji, nie dla pisarskich obserwacji. Był we mnie niedosyt ziemi, zbyt wcześnie się od niej oderwałem. Umiałem trochę na niej robić, zresztą żona pochodziła spod Żytomierza, pragnęliśmy być samodzielnymi. Nie bardzo sobie uświadamiałem, że pisarstwo jest moim zawodem. Owszem, przed wojną, po ukazaniu się „Zaklętych rewirów”, osiągnęciu pewnej popularności, uznałem: trzeba być pisarzem, tym bardziej, że niektórzy krytycy uważali, iż będę autorem tylko jednej książki. By-

Tylko z oddalenia można być blisko

ROZMOWA

Z HENRYKIEM WORCELLEM



Fot. W. Stepien

łem już członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich, jako woiny słuchacz chodziłem na Uniwersytet, w roku wybuchu wojny wydałem drugą książkę, zbiór opowiadań pt. „Zdarzenia w mroku”. Przeżycia wojenne odgrodziły mnie jednak od tamtych spodziewań i pragnień. Po powrocie z robót pragnąłem być dobrym rolnikiem, a literatura pozostawała u mnie na dalekim planie.

— No, a „Grzech Antoniego Grady”, wystawiany zresztą także w teatrze, a sztuka „Gertruda szlerno”, czy rozpoczęta już przed wojną „Wyspa starej Tekli” i opowiadania „Zimowy zasiew”?

— Dołączyłbym do tego „Rewolucję w Górowie” i „Ludzi ze Skrzynki”. W pewnym momencie poczułem, że mam znów coś do powiedzenia, tyle nienawiści widziałem wokół siebie i dobroci. Nadmiar pracy fizycznej w sporym przeciwieństwie do oddalała jednak możliwości pisania. Wymienione tu tytuły nie należą do moich osiągnięć, dziś wołałbym, abym wówczas tego czasu miał jeszcze mniej. Po prostu uważam, że pisarz musi mieć w chwili tworzenia większy dystans do ukazujących spraw.

— Także autentysta?

— Nie wiem, ale sądzę że tak. Uznaję autentyzm, ale... kreacjonistyczny. Autentyka, ale nie ta bezpośrednia. Zwalnia nas od tego dokumentalny film, fotografia, literatura faktu. Zdarzyły się z moich książek to oczywiście Skrzynka, wszystkie prawie postacie to moi polscy i niemieccy sąsiedzi, ale kto uważnie przeczyta „Parafian” oraz „Najtrudniejszy język świata” (choćby razem z mną przeżywał tamten czas), spostrzeże kreacyjność, moje własne tworzenie i widzenie świata. „Wyspa starej Tekli” jest wyrazem tęsknoty za krainą utraconego dzieciństwa. Czasem mi się wydaje, że tylko z oddalenia można być blisko danej sprawy, że przez oddalenie czasowe i geograficzne rzecz nabiera obiektywizacji. U mnie dowodem na to są także „Widzę stąd Sudety” i „Wpisaní w Giewont” oraz niektóre opowiadania pomieszczone w trzech tomach

dziel zebranych. Wreszcie, jakże pełniej i sprawiedliwiej mogłem spojrzeć na pierwsze osiem powojennych lat w niedawno wydanym zbiorze „Nocą, kiedy przychodził świnią”.

— „Pan z prowincji” osadzony został poza średniościem, bo w okolicach Sępólna i Biskupina, zresztą posiadł tam państwo działkę ogrodową. Czy to oddalenie od środka miasta — gdzie przypada panu działka społeczna, ostatnie nawet protestować wrocławskiemu środowisku literackiemu — czy ono także przybliżył przeżycia starszego pana, który wyszedłszy spod gór, zapuścił karzezie nad samą Odrą?

— Nie mogło mi to przypominać Sudetów, ale jest to w końcu pejzaż inny niż zurbanizowany kawał miasta, gdzie mi Miejska Rada Narodowa przydzieliła mieszkanie. Ukojeniem stawało się zwykłe poruszanie się galezi za oknem, ale do osadzenia akcji powieści potrzebny był jednak swobodniejszy powiew natury, choćby na Sępólnie.

— „Pan z prowincji” to także interwencja w życie współczesne, być może nawet wyrażająca się w po-przednich książkach. Pozwała ona rozemnieć się również w środowisku młodych literatów. Łatwo w „Panu z prowincji” dostrzec prototyp pewnego bohactwa sporej grupy młodych poetów, no i krytyczne spojrzenia na określony sposób bycia adeptów literatury.

— Dostrzegalem u młodych wyraźny brak pogłębienia myślowego. Powierzchniowość. Niektórzy wydali mi się podobni do ptaków, które pełzają po samej ziemi, widzą dużą szczygół, ale nie są w stanie czegokolwiek zobaczyć z lotu ptaka, czegoś uogólniającego. Jeśli miłość, to raczej romansik. Przejmują ich małe sprawy: mieszkanie, stypendium, jakieś apanaże. Brak szerszego oddechu, pogłębionego i złożonego myślenia, puszenie się, nonszalanca, przekonywanie o niedocenyeniu. Woda na młyn leniuchów, reanob-dalnych poetów; sposób życia i bycia, który trudno zaakceptować. Znałem pewne prototypy, widziałem i wiedziałem, jacy byli naprawdę. Dałem temu wyraz w powieści. Próbowano wynieść ich po śmierci na ołtarze współczesnej poezji. Zorganizowano w nas rocznicę śmierci jednego z nich przy niesamowitej muzyce. Satanizm, niesamowitość. Recytacje, ton tego wszystkiego i tamta pamięć we mnie. Nie mogłem wytrzymać, wstałem i powiedziałem: nie twórcie mi! Istota pisarza to jego światopogląd. Czytam książkę i staram się dociec, jaka jest dusza autora, szukam, co on wypowiada, co on czuje i myśli naprawdę. Zresztą pisarz może i potrafi kształtować swoją przyszłość. Przed czterdziestu czterema laty, gdy mnie nie tylko chwalono, przyjąłem za przewodnią pewną myśl Nietzschego. Brzmi ona:

Jak na szczyt ten wejść?

Jakich dróg zwrotem?

Postępuj jeno ciągle wzwwyż

I nie myśl o tem!

Można pokonać trudy, jeżeli się o nich nie myśli. Trudnościom się nie poddawałem, a borykałymi się przed przyjazdem do Wrocławia z przeciwnościami, które mogły złamać. Była i jest we mnie wiara w życie, nawet w chwili klęski, smutny optymizm. We Wrocławiu z początku także mieliśmy chude lata. Dopiero wznowienia, stopniowe zainteresowanie moją twórczością, uznanie, jakie przyszło z czasem — o wiele za późno, jak na zwykłą wytrzymałość — pozwalały na podtrzymywanie optymizmu w sobie.

— Niedymki w „Panu z prowincji” woła do kolegów „Przynityw jesteś. Najlepszy dowód, że piszesz powieść. Trzeba być poczęstym prostakiem, żeby opisywać meble pokoju, strój pani Kowalskiej, albo rozmowę dwóch pań przy podwieszonym. Kto teraz pisze powieści? Niedorostki intelektualne. Proszę pana, on nawet nie zdaje sobie sprawy, że powieść przeżywa kryzys, powieść powinna dawać coś nowego, czego nie ma w radiu, w kinie, w telewizji”. Z tego cytatu nie wynika, że to pana pogląd, niemniej on pana trapi.

— Mając 70 lat, każdy pisarz odczuwa chyba zniechęcenie do beletrystyki. Może nawet nie wiek to sprawia, ale to, co teraz na świecie się dzieje. Co ty właściwie robisz? — musi siebie zapytać. Trochę jednak z Niedymkami się solidaryzuje. Teraz nie widzę większych racji pisania powieści w starym stylu.

— „...a gdy już będę najmądrzejszy, nie napiszę nic” zagroził pan w tej samej książce.

— Gdy pisałem „Zaklęte rewiry”, wydawało mi się, że jestem może najmądrzejszy, bo tak ostro widzę sprawę, taki mam w sobie krytycyzm. Była to powieść najgrubsza. Z latami przyszedł jednak autokrytycyzm, obecnie piszę książki coraz cieńsze. Zresztą, wchodzę teraz w „Inne rewiry”, poprzez esej, omawianie lektur.

— Ma więc, czy nie ma powieści racji bytu?

— Ona nigdy nie zgłnie, tylko musi inaczej wyglądać. Przede wszystkim, moim zdaniem, musi uwzględnić psychologię człowieka, sięgać w jego głębię, inaczej niż dawniej, bo i człowiek się zmienił.

— Jest w panu jednak nieustanny spór. Wracam raz jeszcze do „Pana z prowincji”, dzwoni do niego Henryk Worcell, w dodatku wybiera pański demow numer telefonu i głosi: „Jestem manichejskim”. W tej porównanej rozmowie tkwi przecież dyskurs o tym, co jest światem i dobrem, oraz ciemnością i złem.

— Mówiłem już o konieczności posiadania skryzstalizowanego światopoglądu u pisarza. Dotychczasowe rewolucje zasadały się na walce z kapitalistą, z lajdakiem. Teraz przypada walczyć ze samym sobą; pokonywać zło, wyrastające z naszej cywilizacji. Tempo życia — telefon, kontakty literackie, życie miejskie, to, co na człowieka napiera, sprawia, iż inne są teraz problemy i rozrachunki wewnętrzne. Opublikowałem już „Ciemniaka” oraz „Awanturę o tęczę”, piszę trzecie opowiadanie. Będzie więc tryptyk — w tych opowieściach czytelnicy znajdą odbicie tego, o czym mówię.

— A więc znów ingerencja w życie? Podobnie jak w widowisku teatralnym pt. „Worcell”, w którym pan występował? Jak w spotkaniach bezpośrednich przed i po wystąpieniu „Zaklętych rewirów”?

— Jest w tym tryptyku wgląd w życie bardziej przynależny pisarzowi.

— Także z oddalenia czasowego i geograficznego?

— Z oddalenia i z bliska.

— Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Tadeusz Jasiński

Lądowanie w Nowym Jorku

Dokończenie ze str. 1

Powszechne". Rzecz w tym, że do USA lecę po raz pierwszy, w Nowym Jorku nie mam znajomych, (choć metropolię zamieszkuje ponad 750 tys. ludzi polskiego pochodzenia), a lotnisko im. Johna F. Kennedy'ego odległe jest o 20 dolarów drogi (taksówką) od siedziby moich gospodarzy, czyli Fundacji Kościuszkowskiej, która kończy pracę o godzinie piątej po południu. Jeśli więc nie trafię do budynku 15 East 65th Street, w samym centrum Manhattanu, przed upływem owej godziny, czeka mnie noc ciężka: może na lotnisku, może w Armii Zbawienia, może, nie daj boże, w komisariacie policji, która podobno groźna. Co prawda "Marysia" powinna wylądować w Nowym Jorku gdzieś po trzeciej, co prawda pani Kryśka — pilna uczestniczka lubelskiego kursu dla instruktorów polonijnych zespołów folklorystycznych — otrzymała zapewne mój list z prośbą o holowanie z lotniska do Fundacji, ale jak to będzie faktycznie, okaże się dopiero za kilka godzin. W ostateczności wezmę taksówkę, mam przecież w portfelu 50 dolarów. No tak — przypominam sobie — ale nawet w urzędowej korespondencji z USA ostrzegano mnie, że taksówkarze miast 20 biorą i 40 dolarów, a taki pieniądz w budżecie stypendysty liczy się w sposób istotny. Jakby nie spojrzeć, kiepsko.

Śmiechu warte: facet po czterdziestce, lecący do Ameryki na zaproszenie poważnej instytucji w

celu zapoznania się z życiem kulturalnym tamtejszej Polonii i odzyskania pewnych obrazów, zawraca sobie głowę popolitością, która powinna zniknąć bez reszty w świetle sprawy, wiodącej go za Ocean Atlantycki. Jedno mnie usprawiedliwia: na wysokości 9 kilometrów nad szaroniebieską, okrutnie twardą i zimną z tej odległości płaszczyzną do głowy przychodzi myśl albo metafizyczna, albo całkiem praktyczna, w rodzaju: jak długo Polak może wytrzymać w lodowatej wodzie?

Lecę do Polonii, zaopatrzony w wiedzę książkową o tej wielkiej grupie etnicznej. Około roku 1880 liczyła ona zaledwie 200 tys. osób, jeśli zaufać oficjalnym statystykom, które wątpliwe wobec faktu, że ówczesni urzędnicy imigracyjni nierządnie uznawali Polaków za Rosjan, Niemców i Austriaków, w zależności od paszportu i zaboru, z jakiego pochodzili nasi tułacz. Do tej daty przybywała do Stanów przede wszystkim inteligencja polska, dopiero w ślad za nią ruszyła szeroka fala emigracji zarobkowej. Początkowo byli to rzemieślnicy, konkretnie — murarze ze Śląska, ścigani za ocean dla swych umiejętności stawiania wysokich kominów fabrycznych, co odnotowałem tym skwapliwiej, ponieważ działek mój ze strony ojca wznosił dwa najwyższe kominy łazienek w Ciechocinku. Na początku XX wieku Polonia amerykańska osiągnęła już liczbę trzech milionów ludzi, dzisiaj zaś — nie wiadomo ile. Działacze polonijni twierdzą, że nasza grupa etniczna obejmuje od 10 do 15 milionów osób, dane z 1969 roku, oparte na deklaracjach sa-

moidentyfikacyjnych jednostek, redukuje tę zbiorowość do 4 941 000. W 1978 roku cała ludność Stanów Zjednoczonych liczyła 218,5 mln, w tym 112 mln kobiet i 106,5 mln mężczyzn.

Przeczytałem więc kilka książek na wiadomy temat, m. in. wydany dość dawno, bo w 1963 roku, ale ciągle świetny tom reportaży Wiesława Górnickiego „Głaur wśród jankesów” oraz rzetelne prace Hieronima Kubiaka („Rodowód narodu amerykańskiego” z 1975 r.) i Andrzeja Kapiszewskiego („Stereotyp Amerykanów polskiego pochodzenia” z 1978 r.), nie zapominając, naturalnie, o przypomnieniu sobie „Kultury amerykańskiej” (1970) Józefa Chałasińskiego. Przeczytałem, a teraz próbuję o tym wszystkim zapomnieć, choćby na dalszy plan odsunąć, aby autorytatywne opinie naukowców czy kompetentnych publicystów nie zabrały mi zdolności własnego widzenia sprawy, nie zamieniły tego oto dziennika w zbiór cytatów — tyle że bez znaku cudzy-słowa.

Schodzimy do lądowania, ale to jeszcze nie Nowy Jork, to Newfoundland, kanadyjska Nowa Fundlandia, wyspa pokryta śniegiem, gdzie samolot zatankuje paliwo, aby później, dwugodzinnym skokiem, osiągnąć dawny Nowy Amsterdam, niegdys kolonię holenderską, w której Aleksander Kurczewski, polski emigrant inteligentki, założył pierwszą szkołę wyższą o profilu humanistycznym.

Pasażerowie opuszczają samolot, na zewnątrz wiatr ostry deformuje twarze, ale nie to: spokojnie,

crokiem godnym zmierzamy do budynku portu lotniczego, który jakby nie mniejszy od Okęcia, choć w końcu peryferyjny. W rozległej, czystej poczekalni bar bezalkoholowy nas wita, sklep z upominkami wabi: plastikiem i szkłem, fioletem i różem, lalczkami i misiami, scenkami rodzajowymi w drewnie oraz widokówkami z piaskiem marki nowofundlandzkiej Black Jambo, który mając wielkość sporego barana, melancholijnie patrzy w odniezione przestrzenie. Co robić, kupuję kolorowy portret pleska, adresuję kartkę, nalepiam znaczek i wrzucam ją do skrzynki pocztowej.

— Dzień dobry — słyszę w tym momencie za plecami. Odwracam się gwałtownie: w całej swej wysokiej okazałości, przyodzian w zielonkawą kurtkę, stoi przede mną Kazimierz Braun, z którym niegdys, w okresie jego dyrektury w lubelskim teatrze dramatycznym, przechodzącym czas prosperity artystycznej, przeprowadziłem obszerny wywiad dla „Kamery”.

Wymiana podstawowych informacji: okazuje się, że Braun wybiera się do University of Connecticut Storrs, gdzie przez trzy miesiące prowadzić będzie zajęcia z reżyserii i wykladać o teatrze polskim.

Pora wracać do samolotu. Idąc długim korytarzem prowadzącym na płytę lotniska, mam sposobność lepiej przyjrzeć się współpasażerom. Niejeden z nich leci do USA służbowo, ale większość stanowią chyba ludzie zaproszeni do Stanów przez krewnych, a pochodzący spod Krakowa, Tarnowa, Nowego Sącza, z okolic Mielca, z tamtych właśnie terenów. Taki wniosek podpowiadają przynajmniej strzępy rozmów, dobiegające do mnie z tłumem. Ten zaś podchmielony jegomość, wzrostu Romana Polańskiego, na pewno mieszkał kiedyś w Tarnowie: głośno zlorzezy na tamtejszą milicję, która jemu, już obywatelowi

Dokończenie ze str. 1

9 MAJA 1945

1154 miliardy dolarów! Wojna spuściła ogromne terytoria; dziesiątki tysięcy miast, osad i wsi znalazły się w zupełnej ruinie. Miliony ludzi uległy dotkliwym transferom. Ogólne straty biologiczne wyniosły aż około 80 milionów osób. Straty materialne w samej tylko Europie oceniono co najmniej na 260 miliardów dolarów. Wydaje się, że w maju 1945 roku naprawdę podstawowa masa ludzkości uświadomiła sobie bezsens wojen i żarliwie zaklinała się, że już nigdy więcej...

W toku tej wojny ujawniło się jeszcze coś ważniejszego — świat ocenił od złowieszczych agrozem systemów totalitarnych przede wszystkim dzięki solidarności i jedności państw i narodów, które przeciw przedtem stały na pozycjach sobie wrogich. Alians sił antyfaszystowskich okazał się mimo wszystko trwały i konsekwentny, a tworzącym Organizację Narodów Zjednoczonych wydawał się wówczas stabilny. Nie wiedziiano jeszcze wtedy, że jedna z największych w dziejach ludzkości wojen nie zakończy się traktatem pokojowym (rzadki to w dziejach wypadek) i że po niej trzeba będzie czekać jeszcze blisko 30 lat, by w Helsinkach szeregami zastępczych klauzul tę dotkliwą lukę wypełnić. Nie zdawano sobie też sprawy, że pierwsze poknięcia w monolite antyhitlerowskiemu aliansu (sprawa polska, problemy granic...) są w istocie pierwszymi podmuchami „zimnej wojny”, którą oficjalnie proklamują: w 1946 roku w Fulton Winston Churchill, a nieco później w Stuttgartie sekretarz stanu USA Byrnes.

Tymczasem jednak solidarność przejawiała się z niezwykłą siłą i serdecznością. Nad Łabą, dokąd dotarły wojska Czerwonej Armii, żołnierze radzieccy i amerykańscy ściskali się wśród zapewnień o trwałym braterstwie i przyjaźni. Miliony ludzi, zabiedzonych i zmęczonych wojną, wracali do swoich rodzinnych miejsc. Wśród tej masy wyraziście odbijały się paszaki więźniów obozów koncentracyjnych i zniszczone mundury jeńców z obozów. Raz po raz odkrywano zbiorowe mogiły ofiar hitlerizmu i dowładowano się okrutnej prawdy o

rozmiarach nowego zjawiska — ludobójstwa, dokonanego w skali niesłychanej przy pomocy „nowych środków technicznych”. Rozmiary tych zbrodni były przerażające: wśród 20 milionów obywateli radzieckich, których zabrała wojna, aż 10 milionów stanowili cywile. W Polsce spośród ponad 6 milionów ofiar ponad 5 milionów zginęło w wyniku eksterminacyjnych poczynań okupanta. W egzekucjach, obozach zagłady i głodu i chorób utraciło życie około 5 milionów Żydów europejskich (w tym około 3 miliony z Polski).

W szczególnych warunkach witała rzywiesstwo nad faszyzmem udręczona Polska. Powalona w 1939 roku i poddana najokrutniejszemu z okrutnych systemów okupacyjnymu, wychodziła z wojny zniszczona, osłabiona biologicznie, rozbita wewnętrznie pod względem politycznym, lecz mimo wszystko zwycięska! Po raz pierwszy w dziejach żołnierze polscy walczyli na ulicach Berlina, biorąc odwet za wieki polskich niepowodzeń. Żołnierze II Armii szli szlakiem piastowskim na Budzyszyn, z satysfakcją oglądając nicozemną kleskę spadkobierców Germanów czy złowrogich Prus (później wybitny publicysta Edmund Osmańczyk powie, że upadek Prus stanowi największą i najtrwalszą konsekwencję II wojny światowej).

Swoistym, trwałym i skutecznym rozładowaniem stanu depresji, wywołanego uświadomieniem sobie ogromnych strat biologicznych, materialnych i moralnych, zadanych naszemu narodowi przez hitlerizm, okazał się wówczas, owej pamiętnej wiosny 1945 roku, powrót „polskich orłów na szlak piastowy”, szopy białe przez naszych żołnierzy nad Odrą, owo przesunięcie polskich granic w głąb Europy i szeroki dostęp do Bałtyku.

Nowe siły społeczno-polityczne, które w lipcu 1944 roku wzięły w Polsce ster władzy w swoje ręce, głośno i realizowały hasła sprawiedliwości społecznej, nobilitacji klas i grup dotąd dyskryminowanych, harmonijnego rozwoju ekonomiczno-społecznego, nowej orientacji w polityce zagranicznej. Jeszcze wówczas nie zdawano sobie sprawy, że nim dojdzie do spokoju i ładu w kraju, zez-

ka nas ciężki okres walk politycznych o charakterze bratobójczym, które pochłonię życie kilkudziesięciu tysięcy niepotrzebnych ofiar i utrudnią w znacznej mierze szybką odbudowę i rozwój kraju.

Jakie dzisiaj czynić rozważania w czasie kolejnej rocznicy wielkiego wydarzenia? II wojna światowa nie okazała się niestety, mimo dotkliwej lekcji dla narodów, ostatnią w historii rodzaju ludzkiego. Jeszcze dobrze nie zarosły trawą szańce i okopy z lat 1939—1945, gdy stan „zimny” wojny przeszedł w fazę „gorącą”. Wkrótce wybuchła zawierucha w Wietnamie, która ciągnęła się latami i w toku której zrzucono więcej bomb lotniczych i wystrzelono więcej pocisków niż w całej II wojnie światowej! Później eskalacja wojen lokalnych przejawiała się z ogromną siłą i konsekwencją. W ciągu ostatnich trzydziestu lat było ich ponad 100! Czy to jest signum współczesnego świata?

Widmo III wojny przesładowało i przesładowuje ludzkość od 35 lat i nie potrafiły rozwiązać go najenergiczniejsze poczynania szerokich kręgów opi-

nia publicznej: ruch pokoju, Organizacja Narodów Zjednoczonych, protesty uczonych, pisarzy, kobiet...

Gwałtownie pobudzony po II wojnie światowej (ale chyba nie przez nią) ekonomiczny rozwój świata nie tylko nie zdołał przewyciężyć drastycznych kontrastów społecznych, lecz przyniósł nowe plagi: groźbę dewastacji naturalnego środowiska przyrodniczego, różnego rodzaju miazmaty życia w wielkich aglomeracjach, rosnący głód surowców, paliw i energii, nowe środki masowej zagłady, alienację, psychozy, nawroty do tendencji totalitarnych, ludobójczych itp. itd.

Zgrozą napawa dziś fakt, że mimo ujawnienia, powszechnego potępienia, a nawet osądzenia (w cyklu procesów w Norymberdze) faszyzmu oraz ludobójstwa — oba zjawiska odżyły i jak rak toczą w dalszym ciągu organizm ludzkiej społeczności. Neofaszyzm, totalitaryzm, eksterminizm raz po raz pojawiają się w różnych częściach świata. Gdyby podliczyć dokładnie ofiary tych zjawisk w ostatnich 35 latach, być może okazałoby się, że żniwo ich jest obfitsze od tego, które (poza działaniami militarnymi) zagarnęła II wojna. Owe zjawiska doprowadziły przecież do zbrodni w Indonezji, Kampuczy (około 2 miliony o-



Na cmentarzu żołnierzy radzieckich w Berlin — Treptov.

Fot. W. Stępien

Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, ośmieliła się wlepić mandat, czy nawet upokorzyć przedstawieniem przed kolegium orzekającym. Jego manifestacja nie budzi jednak uznania otoczenia, pewien zadbane pan strofuje konstatatora, co jednak rozjusza go jeszcze bardziej. Uspokaja się dopiero na widok rosnącego policjanta kanadyjskiego, sunącego do nas kołyszącym krokiem.

Zbliżamy się do Nowego Jorku: pod samolotem, jak okiem sięgnąć, przycupnęły tysiące domków, wpisane w bezwzględnie racjonalną geometrię dróg i ulic, które przecinają się pod kątem prostym. W tym uporządkowanym pejzażu nie ma miejsca na linie faliste, niefrasobliwie wytyczone przez ludzi, którzy zawsze mają czas na głębokie zaciągnięcie się „sportem”.

Lądujemy. Długo kołujemy pod jeden z „rekawów” PANAM, z którą to linią nasz LOT ściśle współpracował. Krótka odprawa paszportowa, a potem czekanie na bagaże, wyrzucane taśmociągami z jakiejś dziury. Ledwo z Braunem zdążyliśmy wymienić adresy, pojawiają się nasze walizki. Chwytam swoje: ciężkie, jak ja z tym wszystkim dojadę do Fundacji?!

— Kociuba, Burak, Wycisk, Kamiński... — słyszę nagle głos kobiety i już wiem, że wszystko będzie w porządku, że ktoś na mnie czeka. Podchodzę do pracownicy LOT-u, przedstawiam się, w nagrodę otrzymując firmowy blankiet, na którym widnieje taki oto napis: „Bring to office Krysia... will pick up at 5 p.m.”. Inaczej mówiąc: mam poczekać w biurze LOT-u, gdzie o piątej po południu pojawi się pani Krysia. Mój boże, myślę sobie, nie znam dziewczyny, na oczy jej nie widziałem, a ona taka życzliwa, fatyguje się, trzusi. A zresztą, czemu tu się dziwić, wszak jestem w Ameryce!

Odprawa celna: pani Murzynka pyta o narkotyki. Nie mam (skąd, u diabła, miałbym mieć?!), więc o'kay, mogą iść w Stany. Ale, ale, one moment, a co takiego kryje się w tej torbie? Recytuję posłusznie: płyta z piosenkami Grzesiuka, pół litra spirytusu, przybory do golenia, słownik angielsko-polski, kilogram suszonej kiełbasy...

— Kielbasa, polish kiełbasa, polish sausage? — powtarza z niedowierzaniem kolega celniczy, też Murzyn.

— Yes, kiełbasa — potwierdzam ze smutkiem, bo wiem już, co czeka ten produkt lubelski zakładów mięsnych, zdobyty przez moją żonę i wsunięty przez nią do torby ze słowami: „Na tydzień starczy”. Wziąłem tę walówkę stypendysty, zapomniawszy, że do USA łatwiej wwieźć działo bezdrutowe, niż trochę jakiegokolwiek żywności. Amerykanie boją się epidemii, zarazy i tym podobnych plag bakteryjnych. Zabiera Murzyn kiełbasę...

Którędy do biura LOT-u? — Nie mam pojęcia — odpowiada przystojna blondynka. — W ogóle wszystko mi się miesza od chwili, kiedy nasi celnicy na Okęciu zabrali mi do depozytu skrzypce. Jak ja pojawię się w Colorado Springs, gdzie gram w orkiestrze, co ja powiem mężowi?!

— Jedni lubią skrzypce, inni kiełbasę — bąkam filozoficznie.

— Pan też?! — uśmiecha się szeroko skrzypaczka, ale ja nie wiem, co ona chce przez to powiedzieć.

— Pytał pan o biuro? Prosto, w lewo, windą na pierwsze piętro, wejście z kawiarni. Proszę uważać, bo na drzwiach wejściowych może nie być nalepki z napisem „LOT”. Stale nam zrywają — wtrąca się do rozmowy pracowniczka naszych linii lotniczych. (Kto zrywa? — uw. moja).

Jestem wreszcie w biurze. Wskazują mi krzesło w korytarzu, który od kawiarni oddziela przepięknie. Po pół godzinie dowiaduję się, że pani Krysia przyjedzie godzinę później, niż obiecywała. Nie to, wychodzę na teren dworca lotniczego: za kontuarem baru, za okienkami informacji, w policyjnych mundurach — wszędzie Murzyni, jeden to nawet ładzko podobny do Paula Robesona, którego dramatyczną „Missisipi” tak bardzo lubilem w latach pięćdziesiątych, kiedy to pieśniarz odwiedzał Polskę.

Wracam. W korytarzu siedzi szczupła blondynka, lat około czterdziestu, którą w samolocie brałem za Amerykankę. Przelatujemy się, a ona:

— Z Częstochowy jestem...
Czeka na telefon od krewnych z Los Angeles, dokąd leci za cztery godziny. W USA ma zamiar zabawić kilka miesięcy. Tak — myślę — będzie z niej dobra babysitter.

Kolejna informacja telefoniczna od pani Krysii: przyjedzie dopiero o siódmej. Zapadam w odrętwienie, choć częstochowianka, lekko zdenerwowana perspektywą wielogodzinnej lotu na Zachodnie Wybrzeże, wyraźnie ma ochotę na rozmowę.

O siódmej dowiaduję się, że pani Krysia nie przyjedzie. Po prostu nie przyjedzie i już. Telefonuję do Fundacji: cisza. Telefonuję do znajomych znajomych: nikt nie podnosi słuchawki. A więc Armia Zbawienia?

Telefon do mnie: dzwoni przyjaciel pani Krysii i pyta, czego ja właściwie chcę? Referuję, przepraszam i w ogóle wycofuję się, bo przecież rozumie, że z New Jersey o tej porze, w tym tłoku i tak daleko. W odpowiedzi słyszę, że najlepiej będzie, jeśli wezmę taksówkę. Jeszcze raz okazuje się, że genialne rozwiązania są zazwyczaj

proste. Szkoda tylko, że takiego wyjścia z sytuacji nie podsunęło mi trzy godziny wcześniej, kiedy Fundacja była otwarta. Człowiek na drugim końcu linii telefonicznej zapewnia mnie przecież, że skontaktuje się z instytucją i wszystko załatwi.

Objuczony węk twierzę wychodząc przed budawką dworca lotniczego, zegnany litościwym spojrzeniem pań z LOT-u, które chciałyby mi pomóc, ale przecież nie mogą. Przede mną trzydzieści wolnych taksówek oraz dwunastomilionowe miasto.

Dysponent przywołuje jednego z kierowców, ten bierze moje bagaże, zachęca do ulotowania się w samochodzie. Jedziemy: 10 minut, 15, 20. Po półgodzinnym rajdzie w strumieniu trąbiących wozów skręcamy w uliczkę cicha, kameralna; koniec zabawy, teraz trzeba płacić. Tylko 20 dolarów! Z wdzięcznością uśmiecham się do czarnego gentelmana, który stawia walizki przed drzwiami budynku z tablicą: „The Kosciuszko Foundation”.

Naciśkam dzwonek — przez kilka minut. Cisza. Pukam energicznie w grube drewno, aż słyszę w końcu głos dobiegający z drugiej strony, głos kobiety, głos anielski: — Kto tam?

— Stypendysta z kraju!
Otwierają się wierzaje; wchodzę, tłumaczę, pokazuję papiery, a niewysoka blondynka w wieku dojrzałym mówi, że nikt mnie się tutaj dziś nie spodziewał, ale nie szkodzi, pokój na piętrze jest akurat wolny, mogę go zająć.

Wnosząc walizki do zabytkowej windy rzucam mimowolnie okiem w głąb ciemnej sali, z lekka rozjaśnionej światłem z hallu: z postumentu pod oknem surowo spogląda na mnie marszałek Józef Piłsudski, uformowany w postaci ogromnego popiersia z metalu...

Ireneusz J. Kamiński

fiar), Angoli, Afryce. Nowe faszyzmy pociągnęły za sobą zagładę milionów w gruncie rzeczy niewinnych ludzi. Zbrodnie na tle politycznym, rasowym, religijnym wciąż pochłaniają liczne ofiary i jest to w tej chwili największa hańba dla rodzaju ludzkiego.

Od sierpnia 1945 roku towarzyszy światu, który wkracza w rewolucję naukowo-techniczną, widmo „atomowego grzyba”, przerażają nas i napawają lekkiem wiesci o bombach wodorowych, neutronowych, broniach bakteriologicznych i laserowych, o możliwościach „dematerializacji materii”...

Jakże zgnębieni są dzisiaj ci, którzy dla wytchnienia pochylają się nad dziełami filozofów epoki szeregowej wiary w przyszłość ludzkości — okresu Oświecenia! Wierzę w zdolność rodzaju ludzkiego do nieskończonego doskonalenia się — pisał wówczas Condorcet — i dlatego sądzę, iż rodzaj ludzki będzie na drodze ku pokojowi, wolności i równości, a więc na drodze ku szczęściu i cnocie, czynił postępy, których kresu nie sposób oznaczyć. Człowiek posiada nieograniczone możliwości doskonalenia się. Jego postęp techniczny niezależny jest od wszelkich potęg, które chciałyby go zahamować. Jedynym kresem jest kres trwania globu, na który rzuciła go natura. Niewątpliwie postęp ten dokonuje się ruchem szybszym lub wolniejszym, nigdy jednak nie będzie to ruch wsteczny, przynajmniej dopóty, dopóki ziemia zajmować będzie to samo miejsce w układzie wszechświata, a prawa ogólne, rządzące tym układem, nie spowodują na naszym globie zasadniczego przewrotu, ani też zmian takich, wskutek których ludzkość nie mogłaby nadal zachowywać ani rozwijać tych samych środków do życia. Obraz rodzaju ludzkiego wyzwolonego z wszelkich pęt, oswobodzonego z władzy przypadku i wrogów postępu, zdecydowanie zmierzającego ku prawdzie, cnocie i szczęściu, jakie jest wielką pociechą dla filozofa wobec ogromu błędów, zbrodni i niesprawiedliwości, które wciąż jeszcze kalają ziemię i których ofiarą niejednokrotnie pada.

Jest to materiał do głębokich przemyśleń dla wszystkich obywateli współczesnego świata — szczególnie w rocznicę zakończenia II wojny światowej i zwycięstwa nad faszyzmem.

Zygmunt Mańkowski

oko -lice sztuki -ki

MALARSTWO dla Jana Popka było zawsze było terenem bardzo osobistej wypowiedzi, żeby nie rzec spowiedzi, toteż pisanie o jego twórczości mogłoby stanowić zajęcie dwuznacznie przyjemne, dające takie doznania, jakie są zapewne udziałem kolekcjonera motyli, nabijającego okazy na szpilki. Opowiadał Jan w swoich obrazach o własnym życiu emocjonalnym, wprowadzając w kompozycje formy znane z atlasów anatomicznych i katalogów sklepów „Polmozytu”, co redagowało sensy raczej perwersyjne. W symultanicznych kompozycjach wielokrotnie powtarzał wizerunek własnej twarzy, co z rozpadu można by tłumaczyć jako daleko posuniętą manifestację samoakceptacji. Przedstawiając znajomych poetów, zaopatrywał ich tylko w jedno mizerne skrzydełko, nie szczedząc im natomiast przeróżnych dziur, wypustek, wlewek i wyrostków, które malował w dość nieoczekiwanych miejscach tułowia owych postaci. Wpisywał w kompozycje imiona swych dzieci oraz informacje zgola mylące, o takiej na przykład treści: „Jan Popek 420 West Broadway New York”, sugerującej, że autor wystawiał albo w galerii Johna Webera, albo u Leo Castelli, czyli w najbardziej prestiżowych miejscach sztuki amerykańskiej, nakrytych jednym dachem w nowojorskiej dzielnicy SoHo. Dając wyraz swojej niechęci do różnych kierowników, wskazywał malowanymi zdaniami: „Panie prezesie, pan siedzi na wygodnym sedesie”, aby o bok uwieść własną twarz za kratkami łóżeczka, będącego waż-

nym elementem tego „Biura wiecznego oczekiwania”.

Pod względem formalnym niemal wszystkie te obrazy, powstałe kilka lat temu, zbliżyły się do stylistyki znanej z grafiki powielanej, z plakatu, reklam, ilustrowanych magazynów, chwalać się przecież indywidualną formułą, suwerenną grafologią. Były i pozostały sugestywne oraz atrakcyjne wizualnie, przyciągały wyrafinowaną grą plastycznych elementów, nie wyczerpywały się na przekazie symbolicznym czy anegdotycznych treści. Wartości malarskie tej twórczości wcale nie niknęły pod warstwą elokwentnej ikonografii i ten właśnie moment stanowił, że analizowanie jej tylko pod kątem genetycznym, psychoanalizycznym czy obyczajowym nie wyczerpywało istoty sprawy, jaką Jan podjął w 1965 roku, już na swojej pierwszej wystawie indywidualnej w „Dziekanie” będąc jeszcze



studentem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zresztą równolegle Popek realizował obrazy o wyjątkowo subtelnej i złożonej metaforyce, wynikającej z opozycji między ostrą geometrią szkieletów, a miękkością rozległych płaszczyzn malowanej trawy — na przykład. Bodaj w 1976 roku artysta pokazał „Epitafium dla Benia”, duży obraz poświęcony pamięci Eugeniusza Wygowskiego, kolegi Jana ze studiów, który zmarł tragicznie trzy lata wcześniej, odprowadzany przez przyjaciół na cmentarz na Bródnie jako dramatyczna i chyba ostatnia legenda cyganki z Krakowskiego Przedmieścia. Był w tym obrazie

portret „Benia”, jego żony Marii, były jeansy i naszywka w pasy i gwiazdy, była nazwa winiarni („U Hopfera”), w której Benia, Jan, Himilsbach, Hamilton, Gieło, Olkiewicz spędzili niejedną godzinę przy drewnianym stole... Było więc serdeczne wspomnienie — ale zarazem nowe w twórczości Popka podejście do obrazu, tożsame z rezygnacją z płaskiej, jednorodnej kolorystycznie plamy barwnej na rzecz swobodniejszego, jak to się mówi, mała rskiego traktowania powierzchni. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Jan zmienia się, że rozpoczyna coś nowego.

Sądząc o kwietniowej wystawie Jana w lubelskim BWA, obserwacja ta nie było błędna. Autor „Sondy Wiking na Marsie” (inspirowanej zdjęciem z amerykańskiego pisma naukowego) i pejzaży hrubieszowskich (z 1979 r.) maluje dziś inaczej, niż kiedyś, chyba bardziej zmysłowo, z większymi rewerencjami dla samej materii malarskiej, którą rozprowadza po powierzchni różnicowanymi walorowo smugami. W tych obrazach nie ma już ostrego erotyzmu i autopoiretów, jest natomiast refleksyjna, liryczna zaduma, czasami może nawet zagubienie i pokora, artykułowane wyraźną niechęcią do malarskiego, zdecydowanego definiowania motywów, określającego przecież twórczość Jana Popka sprzed kilku lat. Sporo do myślenia daje też obecność na wystawie prac po prawdzie miniaturowych, a także taki oto tekst, podpisany przez artystę:

Rysunek jest jak spacer po plaży. Idąc po piasku zostawiam ślad. Gdy przyłożę ołówek do papieru, zostawiam ślad. Jest to ślad życia. Gdy ujrzyjcie deszcz i wiatr, zetrze ślady na piasku. Czas zetrze ślad ołówka (...). Gdy namaluję obraz, muszę się nim opiekować jak dzieckiem. Muszę go przetrzeć z kurzu, wyrównać na ścianie. Gdy patrzę na swoje prace, one zaczynają ożywać (...). Gdy mnie zabierze czas, czy moja praca zgaśnie?

I. J. K.

Atomowa wojna bogów (IV)

Aleksander Mora

WSPOMNIANE w poprzednich odcinkach wykopaliska i zapisy w starożytnych księgach dowodzą, że globalna wojna nuklearna w zamierzonej przeszłości to coś więcej niż prawdopodobieństwo. I że wśród jej realiów znajdujemy nie tylko bomby jądrowe, lecz także pociski rakietowe i urządzenia przypominające radar, nie mówiąc już o samolotach. Żadne jednak z tych urządzeń nie mogłoby zostać wyprodukowane bez istnienia zasobów i środków wysoko rozwiniętej techniki, a więc istnienia wysoko uprzemysłowionego społeczeństwa. A jeśli tak, to utracony Złoty Wiek zamierzonej przeszłości mógł być „złoty” tylko w retrospekcji — dla tych, którym dane było przeżyć kataklizmy wojny i którzy zachowali w pamięci jedynie najpiękniejsze jego cechy.

W gruncie rzeczy owa era rozwiniętej technologii mogła cierpieć na wszystkie schorzenia, które i nas trapią, a jeśli rzeczywiście cywilizacja ta była znacznie bardziej zaawansowana niż nasza, to i jej problemy mogły być znacznie trudniejsze. Bałachy i stresami; mogły istnieć także problemy siły roboczej, rozwoju przemysłu, produkcji środków żywnościowych, transportu, zanieczyszczenia środowiska i przeludnienia. Nawet jeśli ludzie ci byli niczym mitologicznych bogowie o wspaniałych intelektach imponujące długim okresem życia, to jednocześnie mogli być obciążeni jakąś wadą psychiczną, która stwarzała podobnie niebezpieczne sytuacje, na jakie społeczeństwo ludzkie natrafia i dziś. Jeśli byli oni natomiast przedstawicielami cywilizacji rozwiniętej w innym układzie słonecznym, to już samo promieniowanie naszego słońca mogło stanowić dla nich poważne zagrożenie i pociągać za sobą ofiary. Być może, na przestrzeni wieków ulegali oni stopniowej degeneracji, ponieważ ich cywilizacja znacznie przewyższała naszą. Wyjaśnialoby to przecież zawarty w biblijnej Księdze Rodzaju, że wielka jest niegodziwość ludzi, a wspaniałe ich jest wieść zła.

Z drugiej strony, mogli oni zbudować społeczeństwo bardziej rozwinięte i bardziej ludzkie niż nasze. Być może, trudność leżała w ich stosunkach z innymi cywilizacjami kosmicznymi, a katastrofalny konflikt, który zniszczył ich świat i niemal zgładził rasę ludzką, wywołany był działaniem wrogiej cywilizacji przybyłej z obcej planety lub innego systemu słonecznego.

Mogła to być także kombinacja wszystkich wymienionych czynników. Niewykluczone, że nigdy się nie dowiemy, co było przyczyną „upadku” ludzkości, i będziemy musieli pozostać przy tych danych, jakich dostarczają nam mity i dostępne jeszcze świadectwa materialne.

Można przeprowadzić szereg interesujących rozważań na temat kierunków, w jakich ów wielki konflikt się rozwinął, i znaleźć sporo przekonujących argumentów na ich poparcie. Jeśli bowiem, mówiona era wysokiej technologii dysponowała bronią nuklearnymi, pociskami rakietowymi, radarom itd., i jeśli jej społeczeństwa podlegały rozwojowi równoległemu do tego, jaki charakteryzuje społeczeństwa dzisiejsze, to z pewnością dysponowała ona także podobnymi metodami wojen. Istnieje pewne wskazówki, zarówno w mitach jak i w źródłach materialnych, każące przypuszczać, że wniosek ten jest słuszny.

Antyczny tekst indyjski „Samara Butradhara” wyraźnie mówi o stosowaniu w odległej przeszłości broni biologicznych. Specyfik o nazwie Sam-

hara był używany jako środek wywołujący choroby wśród żołnierzy przeciwnika, zaś inny — Moha — powodował odrętwienie i paraliż. W „Fengshen — yen — i” wspomina się działania wojenne z użyciem broni biologicznej, prowadzone w Chinach; i znowu w tekstach tych znajdujemy opisy zadziwiająco podobne do indyjskich.

Przy tej niejako okazji powstaje pytanie: czy nie jest możliwe, że niektóre współczesne, trapiące ludzką schorzenia zostały kiedyś w przeszłości wywołane w sposób sztuczny? Istnieje wiele chorób, którym ulegają wyłącznie ludzie, nie trapią one natomiast zwierząt. Czy nie mogły one powstać jako rezultat pradawnej niszczylińskiej wojny bakteriologicznej, której zasięg wymknął się walczącym stronom spod kontroli?

Znany biolog, Firsow, zwraca uwagę na fakt, że wirusy, traktowane obecnie jako reprezentujące etap pośredni pomiędzy światem żyjącym a nieżyjącym, światem organicznym a nieorganicznym, zachowujące się w stanie nieczynnym jak substancje krystaliczne, zaś w stanie aktywnym reprodukuje się i wykazuje działanie celowe, wcale nie musiały powstać u zarania życia na ziemi. Tym bardziej że wykazują one wysoki stopień specyficzności w stosunku do żywiciela, co właśnie mogłoby wskazywać na ich stosunkowo niedawne pochodzenie.

Inny rodzaj broni, powszechnie obecnie znanej, to broń balistyczna, a więc pistolety, karabiny, działa itp., a także materiały wybuchowe. W jednej z jaskiń północnej Rodezji znaleziono ludzką czaszkę. Czaszka ta, znajdująca się obecnie w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, posiada okrągły otwór po lewej stronie, podczas gdy strona prawa jest roztrzaskana. Otwór ten jest doskonale okrągły, zaś czaszka wokół niego nie posiada żadnych śladów promienistych pęknięć. Taki efekt — okrągły otwór z roztrzaskaną przeciwległą ścianą, czyli wylotem — jest typowym efektem działania na twardą kostną kuli karabinowej o dużej prędkości, znanym powszechnie zarówno z doświadczeń ubiegłej wojny jak i badań kryminalistycznych. Dzida, strzała czy kamień takiego zespolonego efektu wywołać nie może. Może go spowodować tylko gorący pocisk wystrzelony z ogromną prędkością. Tymczasem wiek tej czaszki określa się na 40 000 lat, a więc przypada ona na okres pojawiania się człowieka z Cro Magnon, który jeszcze nie zdążył wynaleźć nawet łuku i strzały.

Ta czaszka nie jest jedynym znaleziskiem noszącym na sobie ślady takiego uszkodzenia. Muzeum Paleontologiczne w Leningradzie znajduje się czaszka zebra, pochodząca sprzed wielu tysięcy lat. Posiada ona okrągły otwór w środkowej części czola. Badania wykazały, że zwierzę, chociaż ranne, nie padło a rana uległa zabliznieniu. Podobnie jak w przypadku czaszki ludzkiej znalezionej w Rodezji i tutaj otwór jest doskonale okrągły, zaś wokół niego nie występują promieniste pęknięcia. A więc efekt działania kuli karabinowej. Ale skąd karabiny w zamierzonej przeszłości?

Sięgnijmy więc znów do mitów i świętych tekstów. Mity Drowidów wspominają o jaskiach plujących ogniem i mających własność zabijania. Możesz także miał łaskę, za której pomocą spowodował, że ze skały wytrysła woda. Naturalnie mogła to być także różdżka, bowiem wynajdywanie wody pod powierzchnią ziemi za pomocą różdżki i różdżkarstwo w ogóle należą do sztuk starych. Niemniej jednak mogła to być broń balistyczna.

Wiemy przecież, że Możesz wychowany był od dzieciństwa jako członek egipskiej kasty rządzącej i mógł mieć dostęp do źródeł wiedzy niedostępnych dla innych.

Podobnego rodzaju tajemnicą stanowi starożytna egipska sztuka drążenia tuneli w skałach, której rezultaty obserwować można np. w Dolinie Królów, czy też stosowana podczas budowy Domów Wieczności w Abú Simbel, które Ramzes II kazał wbudować w skaliste urwisko. Przypuszcza się, że we wczesnym okresie historii Egiptu znana była sztuka produkowania i stosowania materiałów wybuchowych, która w późniejszych tysiącletniach uległa zapomnieniu. Nie jest to ani dziwne, ani bezpodstawnie przypuszczenie, jeśli weźmie się pod uwagę, że Chińczycy znali metodę przyrządzania prochu już kilka tysięcy lat temu. Dlatego istnienie broni palnych w odległej przeszłości nie jest niczym nadzwyczajnym, szczególnie dla cywilizacji, która dysponowała energią jądrową.

Niezwykle ciekawa sugestia wypłynęła z kręgu uczonych radzieckich. Okazało się bowiem, że niektóre odkrycia szkieletów dinozaurów na Syberii, a mianowicie położenie kości szkieletowych oraz rodzaj ich uszkodzeń, wydają się wskazywać na to, że zwierzęta te zostały pogruchotane za pomocą silnych środków wybuchowych. To, naturalnie, przesunąłoby fakt stosowania materiałów wybuchowych o kilka milionów lat wstecz. Nie ulega jednak wątpliwości, że znajomość, jak i zastosowanie substancji wybuchowych, oraz broni działających w oparciu o te środki, jest znacznie bardziej starożytna niż się na ogół przypuszcza.

Inną tajemniczą sprawą, ściśle wiążącą się z tragedią atomową w czasach prehistorycznych, są malowidła na ścianach jaskiń i na skałach, rozrzucone po całej kuli ziemskiej. Malowidła te, przedstawiające postacie tak zwanych kosmitów, zyskały sobie w ostatnich latach rozgłos światowy, a ich szczególna popularność datuje się od momentu publikacji książki Von Danikena zatytułowanej „Pojazdy bogów”.

Jednym z najbardziej znanych obrazków jest kontur ogromnej postaci wryty na skale. Został on odkryty przez Henri Laboté'a na płaskowyżu Tasili na Saharze i nazwany przez niego Wielkim Bogiem Marsjańskim. Szkielet zadziwiająco przypomina postać odzianą w strój kosmonauty.



Wielkie bóstwo „marsjańskie”. Rysunek skalny. Zabbaren, Sahara

Na obszarze płaskowyżu znajduje się więcej podobnych rysunków: jeden z nich przedstawia idącą grupę czterech postaci ubranych w stroje przypominające kombinезony kosmonautów, których głowy okryte są białymi hełmami. Rysunki tego rodzaju odkryto na różnych kontynentach. Istnieje na przykład rysunek na skałach na południe od miejscowości Fergana w Uzbekistanie, przedstawiający postać, której głowa otoczona jest pierścieniem z wychodzącymi z niego promieniami. Pierścień ten prawdopodobnie reprezentuje hełm, jaki noszą nurkowie, zaopatrzeni w anteny. Niemal identyczne postacie przedstawiają rysunki odkryte w Val Camonica we Włoszech. Sylwetki „kosmitów” znaleziono także wrytowane na płaskich ścianach skał w Australii.

Znaczne podobieństwo do postaci na rysunkach wykazują japońskie statuetki Dogu pochodzące z okresu Jomon. Wzbudziły one duże zainteresowanie, ponieważ przedstawiają ludzi w pewnego rodzaju ubraniach ochronnych i hełmach zaopatrzonych w dziwne okulary. Japoński ekspert Isao Washio, tak

opisuje strój Dogu: rękawice przymocowane są do przedramienia za pomocą wiązania, zaś okulary mogą być zamknięte i otwierane. Po bokach postaci umocowane są dwa pionowe prawdopodobnie przeznaczone do regulacji ich ustawienia, podczas gdy „korona” umieszczona na hełmie spełnia rolę anteny [...]. Urządzenia na zewnątrz ubrania nie stanowią elementów zdobniczych, lecz są przyrządami pozwalającymi kontrolować i regulować ciśnienie w skafandrach w sposób automatyczny.

Wszystkie te rysunki i postacie kolarzy się obecnie z „przybyszami z kosmosu” oraz poglądem, że planetę naszą w dalekiej przeszłości odwiedzały goście — astronauci z innych układów słonecznych. W gruncie rzeczy mogą one przedstawiać „niebiańskich bogów”. Tym bardziej, że rysunkom „kosmitów” towarzyszą często latające dyski, kuliste pojazdy czy inne urządzenia latające. Wydaje się jednakże, że istnieje „lana”, nie mniej prawdopodobne wyjaśnienie, oparte na odmiennej interpretacji znajdujących rysunków. Być może, przedstawiają one po prostu ludzi w ubiorach chroniących przed radioaktywnym skażeniem. Przecież większość rysunków „kosmitów” odkryta została na terenach dzisiejszych pustyń. Wcześniej już jednak sugerowano, że pierwszą przyczyną powstania pustyń mogło być zastosowanie na tych obszarach broni nuklearnych, dlatego nawet tysiące lat później regiony owe wykazywały wysoki stopień skażenia radioaktywnego.



Tajemnicza płaskorzeźba na skale w pobliżu Nawai w Uzbekistanie. Jej wiek ocenia się na 3000 lat. Sylwetki ludzkie pracujące przy pojeździe noszą maski przeciwgazowe

Rysunki mogły być więc wykonane później przez potomków mieszkanców tych okolic, którym udało się przeżyć kataklizm. Widzieli oni przybywających (albo ze schronów podziemnych, albo z obszarów nie skażonych radioaktywnością) ludzi w latających maszynach, którzy zabezpieczeni strojami ochronnymi pojawili się, aby skontrolować teren, zbadać stopień ich skażenia i ostatecznie rozmiary zniszczeń.

Niewątpliwie niektóre z tych rysunków mogą przedstawiać przybyszów z kosmosu. Nie wydaje się jednak słusne pominięcie możliwości, że ubrania ochronne noszone były przez mieszkańców ziemi, jako osłona przed skażeniem promieniotwórczym. Gdyby bowiem kosmici musieli być tak dokładnie chronieni przed naszym ziemskim środowiskiem, przy pomocy całkowicie izolujących skafandrów kosmicznych, oznaczałoby to, że nie mogli oni oddychać ziemską atmosferą, czy też znosić panującej na powierzchni ziemskiej temperatury. A taki obraz kosmicznych bogów, jak pisze Richard F. Mooney, stałby w całkowitej sprzeczności z tym, jaki wyrobili sobie na podstawie mitów i legend.

O mitycznych bogach Egiptu, Grecji, Indii, a także Majów, Inków i Azteków nigdy nie pisano jako noszących stroje ochronne. Dlatego albo byli oni ziemianami, albo przybyszami z kosmosu, których fizjologia podobna była do ziemskiej w takim stopniu, że nie potrzebowali skafandrów ochronnych. Oczywiście, ci, którzy przybywaliby tylko na krótki pobyt na ziemi, mogliby nosić ubiory chroniące ich przed odmiennym promieniowaniem słonecznym, czy też nieznany, a być może groźnymi dla nich, ziemskimi mikroorganizmami. Jednakże, biorąc pod uwagę argumenty za i przeciw, oraz uwzględniając rozmieszczenie głównych malowideł oraz materialnych dowodów katastrofy nuklearnej, wydaje się, że najbardziej racjonalnym wyjaśnieniem funkcji owych „kosmicznych” skafandrów jest ochrona przed skażeniem promieniotwórczym.

OLA i Ewa zamieszkały w swym domu w październiku, a ich pobyt w Modliborzycach nie zaczął się dobrze. Ubiegłoroczny październik był niemal zimowym miesiącem i przyniósł grudniowy ziąb, co okazało się jedyną szczęśliwą okolicznością, gdyż Ewa na pierwszy spacer po miasteczku ubrała dziecko ciepło i grubo. I wtedy mała sama wyszła na ganek. Jak? — tego nie pamięta żadne z rodziców — ani Ewa, ani Mirek. W każdym razie Ola, której brakowało do dwu lat trzech miesięcy, jakimś sposobem, a pewnie dlatego, że nie było jeszcze zamków, otworzyła sobie ciężkie wyjściowe drzwi, zbite z grubych desek.

O kilka sekund za późno Ewa wybiegła za dzieckiem i równie za późno zobaczyła, że Ola drepcę ku schodom. Ich dom to stara synagoga z osobnymi schodami na ganek, przeznaczonymi dla kobiet, które kiedyś tylko przez szybę i z wysoka mogły obserwować, jak w głównej sali modlą się mężczyźni. Te schody są z solidnego kamienia i mają dziewiętnaście wysokich stopni. Potem Ewa widziała, że Ola zrobiła o jeden tyci kroczek za dużo i do dziś w pamięci zostało jej przekonanie, że główka dziecka uderzyła po kolei o każdy ze stopni, aż do ostatniego.

Gdyby to się rzeczywiście tak odbyło, Mirek, który wybiegłszy natychmiast skoczył po dziecko i wniósł je do domu, nie mógłby potem uspokajać żony, że żrenice Oli rozszerzają się, jak u każdego człowieka, jeśli patrzy w cień lub z bliska.

Ale że Ewa na studiach miała trochę psychologii i nauczono ją rozpoznawać wstrząs mózgu po rozszerzonych źrenicach, więc zaraz u Oli, w jej oczach, dopatrzyła się tej swojej mizernej wiedzy. I to, być może, były matczyne wyrzuty sumienia, lecz bardziej chyba pragnienie, by Mirek zaprzeczał i żeby wszystko okazało się tylko wyrzutami sumienia, albo jeszcze lepiej — przywidzeniem. Gdy lekarz rozwił ostatnie obawy, matka przestała myśleć, że mogli przekroczyć próg, za którym nie wiadomo, co jest, pewnie pustka i wszystko by się skończyło, zanim na dobre zostało rozpoczęte; oni oboje mają dopiero po dwadzieścia trzy lata.

Ewa twierdzi, że to był znak, zupełnie poważnie, i być może dla niej drzwi pomiędzy metafizyką a rzeczywistością stoją otworem. Nietrudno, prawdę mówiąc, nabrać takiego przekonania, gdy dom rodzinny zakłada się w starej synagodze. Tak, różne rzeczy przytrafiają się nie tylko ludziom, ale i domom. W tym był kiedyś Bóg i przychodzili doń ludzie, którzy już nie tylko z Bogiem, ale i z życiem się rozstali. A może to On pożegnał się z nimi? Nie wiadomo, bo od tamtych śmiertelnych pożegnań ani Ich, ani Jego nigdy więcej w miasteczku nie widziano.

W budynku zrobiono potem kino i dom kultury — co się zdarza, gdy potężni bogowie odchodzą za swymi małżonkami, opuszczając sanktuaria, które przestają być święte. Ale Ewa sądzi, że duchy nie umykają ot, tak sobie, i że miały udział w rozdarciu uspiętej cisy nocy, kiedy bez widocznej przyczyny odpadła z sufitu w korytarzu stara lampa.

Natomiast Ola nie wie ani o znaku, ani o duchach i w małej pamięci zakodowała tylko, że schodów w swym domu należy unikać podczas samotnych wycieczek. I teraz, wiosną, najważniejsza od paru dni jest mucha — jedyna, pierwsza w tym roku, osiadła w gabinecie ojca — a w sprytnym podchodzeniu owada tyleż ciekawości, gdy nadlatuje, co strachu, kiedy brzęczy obok twarzy i wtedy trzeba do mamy. I równie ważny jest kot, prawdziwy tak, że można go z bliska dotknąć i poglaskać.

Ewa ma szczęśliwe oczy, gdy rozglądając się wokół i patrząc na córkę, oznajmia: „To jej pierwszy dom”, chociaż pokonując sentymenty, chciałaby widzieć blok, z obiecany jeszcze na grudzień mieszkaniem, zbudowany przed jej oczyma.

Synagoga, nawet dawna, nawet oficjalnie zmieniona w przybytek kultury, na dom niezbyt się nadaje. Ewa potrafi z szybkością tysiąca słów na minutę opowiadać o półrocznym tutaj pobycie, chcąc zrzucić z siebie wspomnienia zimowych miesięcy, gdy musieli prowadzić remont budynku, w którym szron pokrywał ściany od wewnątrz, gdy nie działały kaloryfery, nie przychodzili rzemieślnicy i trudno było zdobyć już nie sprzęt i materiał, ale nawet zrozumienie u ludzi.

Na początku myślała, że oni, młodzi, znajdą tu wielką życzliwość, otworzą się do nich wszystkie ramiona i nastąpi idylla holubienia, bezinteresownego

zaufań, a może nawet podziwu. Łańtwo tak marzyć, gdy się ma w pamięci te wszystkie entuzjazmy, napisane i sfilmowane na temat młodych, którzy po studiach w wielkim mieście idą na wieś, w tak zwany teren, krzewić kulturę, zwykle szalbierstwa, bo różową farbę można lać tylko z wiader przesadnego optymizmu, natomiast na co dzień wiadro służy do grzania w nim wody na elektrycznej maszynie, by móc wykąpać dziecko wieczorem. Zimą, nim woda się zagrzała, ojciec szedł z Olą do dawnej sali modlitewnej, teraz kinowej, olbrzymiej i pustej, i tam Ola wybiegawszy się do syta, wracała prawie śpiąca do kąpielni i szybko zasypiała zmęczona.

Nie było więc żadnego holubienia, tylko nieufność. Trudno się dziwić mieszkańcom Modliborzyc, że na nowych gospodarzy Gminnego Ośrodka Kultury spoglądali nieufnie. Oni widzieli już kilku dyrektorów tej wpa-

nadających się znakomicie na „obalenie pryty” przez miejscowych entuzjastów zabytków, którzy krążyli wokół, niekiedy w samo południe już natchnieni zawartością butelek, w których na pewno nie było kompotu. Górkim ciekawość wobec GOK-u jest na rękę, a to, by przychodono tu raczej na trzeźwo, jest ich dalekosiędnym programem kulturalnym. W tym programie planuje się jeszcze, by i wychodźno stąd trzeźwo, na przykład po dobrej zabawie, lub z płytą pod pachą.

Z płytą dlatego, że umyślnie stworzyć bibliotekę muzyczną i mają zamiar kupić dużo płyt i nie liczyć się z faktem, że wracać one będą do biblioteki porzucanej. A może da się uniknąć niszczenia, dzięki przegrywaniu na miejscu z fonomastera. A może da się osiągnąć coś więcej, czyli potrzebę i ogólny wzrost kultury muzycznej w gminie. Tak sobie myślą.

Dom Oli stał się jej domem, gdy

tem. Do tej pory zbudowano już nowe proscenium, a jeszcze należy zerwać dechy z podłogi i ułożyć parkiet. Wtedy drugie „Księstwo Warszawskie” zajął nieje u sufitu i będzie luksus. Jeszcze tylko trzeba fachmana od kaloryferów zagonić do poprawek, bo chce wziąć trzydzieści tysięcy, choć woda w magazynie ciurkiem leje się z żeberka.

Natomiast Ewa szuka sposobu, by zawsze kupić mleko dla Oli, i nie może pojąć faktu, że choć mleczarnia w Janowie niedaleko, osiem kilometrów, to w Modliborzycach mleko jest rarytasem. Tak samo warzywa i bulki. Czasem uda się kupić ładne jabłka, ale Ola nie jest jeszcze obywatelką, która może zrozumieć, iż na rzecz jablek należy zapomnieć o bananach i pomarańczach, które ulubili sobie we Wrocławiu. Ola urodziła się we Wrocławiu i mieszkała z Ewą w akademiku, a później z ojcem w Raciborzu. Natomiast wioska, która zawsze nazywa się Babcinowo i leży tam, gdzie młodzi z wnuczkami jeżdżą do babci latem, znajdowała się w okolicach Modliborzyc. I to babcia im powiedziała: „Przyjeżdżajcie tutaj”, a teraz mówi Ewie: „Nie narzekaj, pracę masz na miejscu, mieszkać masz gdzie i męża przy sobie”. A to ostatnie jest dla babci najważniejsze.

W połowie kwietnia w domu Oli jest dużo pracy i dużo samotności. Na lato cała rodzina już zaproszona na grzyby, ale do lata kawał czasu; nie się jeszcze nie zieleni na wsi. W wąskich uliczkach pierwsze ciepłe słońce upycha wilgotne cienie w niskie okna. Ewa idzie na spacer z dzieckiem — ubranym w spódnice rozłożystą i wielką, jak afrykański motyl — tam, gdzie można pójść, czyli na przystanek autobusowy, bo może ojciec wróci teraz właśnie z Warszawy, wyjechał na tygodniowy kurs i dziś wraca. Gdy zadzwonił i prosił przez telefon o całusa od Oli, dzieciak z rozpędu i przejęcia cmoknął słuchawkę. Podobno Mirek dostał wizytówkę od ministra, więc widać robi w stolicy korzystne znajomości.

Kiedyś w Modliborzycach był wiejski dom higieny, a w nim pralnia i łaźnia. „To powinno być w każdej wsi” — mówi Ewa, przypominając sobie radość męża na myśl, że w Warszawie, w hotelu nareszcie wejdzie pod prysznic.

Na ulicy Ewa i Ola spotykają malarza. Miejscowy artysta nosi beret z wózek, jest średnio ogolony i pod niebieską kwietniową datą. Uśmiecha się, obiecuje, potakuje Ewie skwapliwie. „Namawiam go, by malował” — mówi Ewa, patrząc za nim. „Różne rzeczy maluje, na sprzedaż przeważnie kicz, dla siebie czasem coś dobrego”. Ola ścisła w piastce torebkę przewieszoną przez ramię. Spódniczka jak motyl zwraca uwagę stojących pod murem kobiet. „Za duża” — osądzają głośnym szepceniem.

Ewa to słyszy, ale wie, że jej córeczka jest modnie ubrana. Sama uszyła dziecku i tę spódniczkę i kilka innych. Lepiej się uczyć szycia teraz, gdy Ola jest mała, jeśli się coś zepsuje, to niewiele materiału stracone. A potem, jak znalazł taka umiejętność. Szczęściem przywozila własną maszynę, bo kto by uszył transparent na pierwszą dużą imprezę w GOK-u. Nie sprzedano im białego płótna, więc rozdarli własne prześcieradło i napisali: „Giełda staroci” i teraz to będzie comiesięczna impreza. „A prześcieradło kiedyś sobie odbiję” — mówi Ewa.

Ona jest instruktorem w GOK-u i planuje wielką imprezę na Dzień Dziecka, szalowa, szumna, żeby każdy dzieciak mógł się bawić, malować, tańczyć, żeby mogła dzieciarnia śpiewać do mikrofonu, żeby było wesoło i kolorowo. Ona pamięta, że kiedyś Grotowski we Wrocławiu zrobił coś wspaniałego dla dzieci — zaprosił je do sali, gdzie rozrzucono kilogramy cukierków, a maluchy w tym buszowały zasypane, więc dlaczego tu by nie można zrobić coś równie wspaniałego. Ale Mirek powiada: „Najpierw się wyremontujmy, a potem zobaczymy” — przypomina sobie Ewa. „On na szczęście ucisza moje ekstrawagancje” — dodaje.

Wracają obie do domu. Ola jak baletnica, bufiasta i rozradowana, słowem, Ewa szepczliwa, w wełnianym kostiumiku i w wielkich butach do balan. To najlepsze, najwygodniejsze buty na wieś, całe ze skóry, a cholewy, choć za szerokie, dobre do spodni. Duża kobieta i mała skracają w uliczkę. Przy wejściu do ich domu wiał stale niewielkie, ledwie widoczne ogłoszenie, że przyjeżdża się amatorów, chętnych do teatru, kabaretu, zespołu muzycznego i tak dalej.



W domu Oli

Bronisław Kowalski

Fot. M. Górski

nialej placówki, widzieli kilka entuzjastów, a więcej jeszcze niechlujstwa, kradzieży, niedbalstwa i ogólnego „związ” zamiast kultury w przybytku kulturalnego dobrodziejstwa, pozostawionego przez historię. Ewa i Mirosław Górscy oraz Andrzej Wróbel, który dostrzulsował na zasadzie ochotniczego inżyniera, bo ma zawód elektronika, podjęli na nowo coś, co sami nazywają życiową szansą, a bardziej doświadczeni, kto wie, czy nie nazwaliby utopią.

Tyle, że na utopię zaglą parol dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury Zagłębia Starkowego w Tarnobrzegu i to on doradził Górkim, by od wojewody, skoro zgadza się dać sześćset tysięcy, wydebić milion. I wydebił, lecz kto wie, czy to akurat była chytraś, bo może i sam wojewoda uparł się na tę utopię. Gdy Modliborzycy leżały ogień w województwie lubelskim, dom kultury był porządną placówką. Dopiero w ciągu ostatnich lat zdziadził ostatecznie, więc pewnie dlatego dyrektor WDK w Tarnobrzegu ostrzegł Mirka i Ewę przed dziennikarzami z „Kamery” a doradzał trzymać się jedynie lokalnych pism. Sam lubi opowiadać, jak to u nich w kulturze kwitną tylko różyczki, więc może nie chciał, byśmy obejrżeli jeden ogródek z bliska. Jakby tam było w przeszłości, przyznać trzeba, że w tym akurat ogródku zmniejszono znacznie ilość „piecu” i inwestowania w entuzjazm bez adresu.

Dom Oli z zewnątrz jest uroczy, tym urokiem budowli sprzed dwu wieków, który nie pasuje do nowej myśli architektonicznej na wsi. Ma wiele nieoczekiwanych zakamarków, nawet na schodach na ganek, osłoniętych od ulicy i

Ewa przyjechała tu z nią do Mirka, który zagospodarował się już od września. Przez miesiąc rości w nim poczucie natychmiastowego zabrania się do remontu i zrobienia porządku z kinem, które nie przeszkadzało w dewastacji lokalu, natomiast wyświetlało filmy pochodzące z czasów braci Lumiere.

Mirek porządkował GOK, a Ewa porządkowała Mirka i najpierw wyrzuciła mężowi z tapczanu dziesięć topionych serków, z którymi leżał też sweter, śpiwor i bochenek chleba. Wprowadzając się do domu, z mebli przewieźli stertę książek, co uzupełniło bogactwo siedziby, czyli miednicę, garnek, poduszkę, koc i grzałkę oraz tapczan, kupiony na rachunek tarnobrzesckiej kultury.

Do pomocy w remoncie zaangażowało się około trzydziestu młodych ludzi z Modliborzyc. Na rynku tak i owak mówi się o upodobaniach i charakterach ochotników, ale to byli ci, którym dyrektor Górski w zamian za robotę urządził Andrzejki, jako wybranych. I wtedy uruchomił pierwszy raz swoją prywatną iluminację, a wszyscy elektrycy z Modliborzyc chcieli zobaczyć, jak funkcjonują migające w rytm światła.

Remont wciąż trwa i jeszcze się pościąganie. W sali kinowo-widowskiej zawieszono już na długim łańcuchu żyrandol „Księstwo Warszawskie” za kilkanaście tysięcy i zerwano ze ścian boazerie drewniane, by przewody elektryczne ułożyć w murze, a nie, jak dotąd, między deskami, które są dosyć łatwopalne, skoro jedna żarówka wypaliła przed laty dziurę w boazerii. Trudne to do osiągnięcia, ale jest fak-

Marsz kolejek wąskotorowych

Dokończenie ze str. 1

Beltyckiej, w stronę Wisły, tam, gdzie rozciąga się zielona dolina rzeki Chodelki, zwana przez miejscowych ludzi Powiślem. To już jedna z ostatnich linii kolejowych, na których panuje szczególna, rodzinna atmosfera, gdzie znają się dobrze zarówno pracownicy jak i podróżni, gdzie teraźniejszość tak mocno przepłótła się z historią.

Linia nosi nazwę Nałęczowskiej Kolei Dojazdowej, ale tak naprawdę, to zaczyna się w Opolu Lubelskim, gdzie urzęduje jej kierownik, a główną stacją — węzłową i remontową — są leżące w połowie trasy Karczmiska.

Pierwszy pociąg osobowy wyrusza z Opolu w kierunku Nałęczowa jeszcze w połowie nocy, o godzinie trzeciej zero osiem. Jedzie przez stację Rozalin do Karczmisk, stacje Wymysłów, Oblizniak, Niezabitów, Wąwolnica, i wreszcie, po sforsowaniu kilku-kilometrowego stromej podjazdu okalającego szerokim łukiem Wąwolnicę, pociąg dobiega o czwartej czterdzięci sześć do Nałęczowa, pokonawszy odległość trzydziestu czterech kilometrów. Ostatnia kolejka wyrusza z Nałęczowa o dwudziestej pierwszej czterdzięci siedem, aby zatrzymać się w Opolu na siedem minut przed północą.

Rumuńskie pomarańczowe diesle ciągną bez większego wysiłku wagony załadowane pod wierzch ładunkiem dla poniatowskiej „Edy”, cukrowni w Opolu, Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Kluczkowicach, Józefowie, Zagłobie i wielu, wielu innych rozrzuconych w pobliżu trasy, przez którą przebiega wąskotorówka.

Nie tak, in illo tempore, bywało: dychawiczne parowoziki, familiarnie przez okoliczną ludność zwane „samowarkami”, wyeksploatowane za czasów okupacji do granic możliwości, zatykały się nieraz na amen pod wąwolnicką górą, gwiżdząc przeciągle resztkami pary o pomoc. Bywało też, że podjeżdżając pod niektóre wzniesienia, kolejka ustępowała kroku młodym ludziom. Dla zabawy zeskakiwali oni nieraz ze stopni wagoników i biegając, dość łatwo wyprzedzali lokomotywę.

Parowoziki lubiły wyskakiwać z roztrażonych torów, co powodowało — oczywiście — zamęt na całej linii. Bywało też, że w czasie okupacyjnych zim śnieg zasypywał doszczętnie szyny. Piszący te słowa sam doskonale pamięta długą noce jazdę saniami z Wąwolnicy do Karczmisk, kiedy to w czasie zamieci kolejka utknęła w polach; bo partyzanci pospół z kolejarzami rozebrali w ramach akcji sabotażowej przytorowe, zimowe plotki, aby nie przepuścić jakiegokolwiek ważnego dla Niemców ładunku...

Historia nałęczowskiej wąskotorówki obfituje w dziesiątki takich niezwykłych wydarzeń. Już pierwsze lata jej istnienia godne są osobnej opowieści. Zaczęło się wszystko w 1911 roku, kiedy to właściciel doskonale prosperujących majątków ziemskich w Kluczkowicach i Zagłobie wybudował, pospół z jedną z warszawskich spółek akcyjnych, dziewiętnaście kilometrów toru łączącego Zagłobę z Wymysłowem. Niczym za czasów przedstevensonowskiej Anglii, toczyły się na tej trasie wagoniki ciągnięte przez konie. Owymi prymitywnymi pociągami przewożono buraki do cukrowni Kleniewskich w Zagłobie.

Potem wprowadzono niewielkie lokomotywki parowe. Na początku pierwszej wojny światowej ustępujący z tych terenów Rosjanie rozebrali szyny, a parowoziki potopili w Wiśle.

Drugą okres istnienia zawdzięcza Nałęczowska Kolej Dojazdowa wojskom austriackim. Siłami jeńców rosyjskich oraz Polaków odbudowali oni zniszczoną linię kolejową, a nawet przedłużyli ją, o 16 kilometrów do Nałęczowa. Potem połączono Karczmiska z Opołem.

Pod koniec wojny 1914—1918 roku dawna buraczana kolejka Kleniewskich rozrosła się w całkiem rozległą i różnie działającą linię kolejową. Torach szerokości 750 mm kursowały pociągi towarowe i osobowe, od trasy Nałęczów—Opole odchodziło w Karczmiskach odgałęzienie do Wilkowa, do Zagłoby, i



Mieczysław Goliszek — kierownik Nałęczowskiej Kolei Dojazdowej oraz Tadeusz Nowacek — naczelnik lokomotywowni w Karczmiskach

dalej jeszcze, aż do leżącej nad samą Wisłą malowniczej Kępy Choteckiej. W okresie międzywojennym, w 1938 r., zbudowano jeszcze jedno odgałęzienie: z Rozaliny do Poniatowej, gdzie w ramach COP-u powstał w szybkim tempie wielki zakład przemysłowy. Wtedy to właśnie trasa kolejowa Nałęczów—Poniatowa nabrała szczególnego znaczenia; to ona zapewniała większość transportu.

Wąskotorowe parowozy przez miejscowych kolejarzy trochę żartobliwie „kolomyjkami” zwane, o mało nie podzielili, pod koniec okupacji, losu „samowarków” z pierwszej wojny światowej. Niemcy, przed wycofaniem się, postanowili je zniszczyć. Kolejarze ukryli wówczas parowoziki głęboko w nadwiślańskich lasach. Służyły potem wojskom radzieckim, ciągnąc składy pociągów dowożących amunicję dla oddziałów, które szły do sforsowania Wisły.

Niemcom udało się jedynie zrabować dumę przedwojennej nałęczowskiej wąskotorówki: dwa osobowe wagony motorowe, tzw. „lux-torpedy” kursujące w latach trzydziestych co dwie godziny na trasie Nałęczów—Opole i obsługujące wówczas właściwie całość ruchu pasażerskiego. Dopiero po wyzwoleniu tutejsi kolejarze odnaleźli je aż we Wrocławiu. Ale na trasę nałęczowską nigdy już te „lux-torpedy” nie wróciły.

Po wojnie nastąpiły dla kolejki znów lepsze czasy. Opadłe całkiem już z sił „kolomyjki” zastępowano nowymi parowozami „Px-48” o sile pociągowej do 160 ton, przed którymi mógł się schować pod ziemię ze wstydu nawet sprowadzony kiedyś przez Niemców, i znany w całej okolicy, przeraźliwie trąbiący parowóz „kogut”. Zaczęły napływać to-

warowe wagony piętnasto- i osiemnastotonowe...

O tym wszystkim, i o wielu jeszcze innych rzeczach, opowiadał mi w swej kancelarii na stacji kolejowej Opole Wąskie (Opole „szerokiego” wprawdzie nie ma, ale — co obyczaj to obyczaj) kierownik Nałęczowskiej Kolei Dojazdowej i zarazem zawiadowca tutejszej stacji, pan Mieczysław Goliszek.

Jak Goliszek — to z Karczmisk oczywiście, z tej wsi, gdzie od lat Pilatowie kojarzą się z Hałasami, Hałasowie z Goliszkami, gdzie panują swoiste gospodarskie tradycje, gdzie mocny był zawsze ruch ludowy i aktywne organizacje patriotyczno-wyzwoleńcze. Tam także, w Karczmiskach, wytworzyła się silna społeczność kolejarzka. Węzłowa stacja wąskotorówki, posiadająca także warsztaty remontowe parowozów i wagonów, dawała zatrudnienie wielu ludziom, którzy nie mogli

wieziona liczna grupa więźniów politycznych z aresztu żandarmerii w Opolu. Niemcy liczyli się z możliwością akcji podziemia i dlatego czas odejścia transportu był utrzymywany w ścisłej tajemnicy. Dwa razy w ciągu kilku dni niemiecki zawiadowca parowozowni w Karczmiskach, Bendel, wysyłał w kierunku Opolu lokomotywy, które w ostatniej chwili odwoływano z trasy. Wszelkie pozoracje na nie się zdały: kolejarze z Opolu przekazali w odpowiedniej chwili wiadomość po linii. Transport więźniów został przechwycony przez partyzantów w tzw. „Glinianym Wykopie” tuż za Karczmiskami stłoczeni w wagonach ludzie, jadący być może na Majdank, odzyskali wolność...

Wojenne dzieje nałęczowskiej wąskotorówki przypominają jakby zdarzenia z Far Westu: buchające parą „samowarki”, zanurzające się na swej trasie w masywne lesne, były niejednokrotnie atakowane przez uzbrojonych ludzi galopujących na koniach wzdłuż

przed wojną wyżyć z niewielkich kawałków ziemi. W czasie okupacji, ta kolejarzka społeczność zaangażowała się mocno w pracę konspiracyjną; kolejka nałęczowska była pod całkowitą kontrolą podziemia.

Kierownik Goliszek pracuje na kolei 38 lat. Zaczynał w 1942 r., właśnie tutaj, na stacji Opole, jako dyżurny ruchu. Miał wówczas lat dwadzieścia jeden, a za sobą udział w kampanii wrześniowej w szeregach 84 pułku piechoty, oraz kilka lat Wojskowej Szkoły Muzycznej w Pińsku, której był elewem. Los tak pokierował jednak życiem pana Mieczysława Goliszka, że zamiast złotych harf na patkach zielonego munduru, nosi stylizowane skrzydła na granatowej czapce kolejarzkiej.

W czasie wojny zaczął się, żeby jakiejś zajęcie, przy kolei i... tak już zostało. Pracował potem na kolei normalnotorowej w Lublinie i Nałęczowie, był także przez pewien czas w specjalnej jednostce wojsk kolejowych na Wybrzeżu. Ale jednak... natura ciągnie wilka do lasu, zaś kolejarza na „rodzinną” trasę. Mieczysław Goliszek zaczynał — jak się rzekło — w Opolu i za trzy lata zakończył pracę na tej samej stacji kolejowej, przechodząc na emeryturę. Jest kawalerem Orderu „Polonia Restituta”, ma odznakę „Przodujący Kolejarz”, ale nosi też na piersi Krzyż Partyzancki...

W 1943 roku Mieczysław Goliszek otrzymał od swego konspiracyjnego zwierzchnictwa zadanie obserwowania dwunastowagonowego składu pociągu towarowego podstarwanego przez Niemców na stację w Opolu. Chodziło o zorientowanie się, jak silna jest wojskowa ochrona pociągu i kiedy wyruszy on w drogę do Nałęczowa. Pociągiem miała być prze-

pociągu, albo przez innych, z kocią zręcznością wskakujących na stopnie breku... Do dzisiaj rozprawia się wzdłuż linii — w dyżurkach zawiadowców, w budkach droźników, przy kolejowych warsztatach — o akcji na oddział okupacyjnych wojsk, który usadowiony na wiślańskiej wyspie obok Kępy Choteckiej i dysponujący pomalowanym na czarno statkiem uzbrojonym w cekaemy, mając także do dyspozycji wąskotorowy pociąg, grasował po całym Powiślu, grabiąc, mordując i gwałcąc. Opowiadają starzy kolejarze, jak to w polanowskim lesie dopadli ów pociąg n-ri, jak się kule sypały, a emerytowany maszynista Stefan Rybak, może nawet na dowód pokazać miejsce na nodze, gdzie został wówczas trzykrotnie ranny... To wszystko się działo, kiedy na stacji w Karczmiskach zawiadowcą był Stefan Widawski z pobliskiego Głuska Dużego, ten właśnie Widawski, którego brat Bolek współorganizował zaraz po wyzwoleniu, w Lublinie na Majdanku. Pierwszy Samodzielny Morski Batalion Zapasowy, i który mieszka teraz w Gdańsku, dołączywszy się stopnia komandora...

W karczmiskiej parowozowni dożywa na emeryturze ostatnich dni jedyny pozostały parowozik. Nigdy już nie roznieca ognia pod jego kołem. Może ostatni raz, wytoczony na świat Boży czułymi rękami kolejarzy, aby mógł pozować fotoreporterowi do „pamiątkowego” zdjęcia stuka oto wysłużonymi kołami po „rejsach”...

Na szynach dudnią na co dzień koła ciężkich spalinowych lokomotyw sprowadzonych z Rumunii. Nałęczowska Kolej Dojazdowa przeżywa renesans: przy rysujących się na świecie trudnościach z materiałami

pednymi, przy drożącym wciąż transporcie samochodowym, zaczęto przypominać sobie o wzgardzonych kiedyś kolejkach wąskotorowych. Wracają na naleczowską linię dawni klienci. Ruch pasażerski wprawdzie zmalał (kolejka dowozi natomiast stale dużą liczbę pracowników do Poniatowej), ale przewóz towarowy rozwija się jak za najlepszych czasów. Przyczynił się do tego jeszcze fakt, że od szeregu lat wąskotorówka przewozi... wagony

baczenie na pięć podległych Zarządów kolei dojazdowych: starachowickiej, jędrzejowskiej, naleczowskiej, hrubieszowskiej i przeworskiej. Każda z nich prowadzi przede wszystkim ruch towarowy; najbardziej żywy ruch pasażerski odbywa się na kolei naleczowskiej. Kierownik Stefański zawiaduje łącznie 580 kilometrami torów o szerokości 750 mm, 1800 ludźmi i... zbliżającym się powoli ale nieuchronnie ku wykończeniu taborem



Stacja w Karczmiskach



Uwaga! Odjazd!

normalnotorowe! Jeżeli chce się dostarczyć na przykład do Poniatowej lub Opola ładunek przybyły koleją z Wrocławia lub ze Szczecina, nie trzeba, jak kiedyś, dokonywać pracochłonnego przeładunku na stacji w Naleczowie. Po prostu na odpowiedniej rampie naleczowskiego dworca przetacza się załadowany normalnotorowy wagon na specjalny wózek-platformę wąskotorową posiadającą na swym „grzbiecie” kawałek „szerokiego toru”. Zaklinowuje się kółka normalnotorowca i w ten sposób uformowany pociąg — na pociągu jest gotowy do wyruszenia w drogę...

Mieczysław Goliszek ma nadzieję, że wąskotorowa kolej, na której przeżył i przepracował tyle lat, ma już najgorzszy okres — kiedy mówiło się o jej likwidacji — za sobą. Ze znalazła sobie ona jakiś *modus vivendi*...

Mniej optymistycznie zapatruje się na tę sprawę nacelnik Zarządu Kolei Dojazdowych przy lubelskiej DOKP, Henryk Stefański, dający ze swej chełmskiej siedziby

kolejowym. Istotnie, wstrzymana została decyzja likwidacji kolei wąskotorowych (był już nawet dokładnie opracowany plan likwidacji kolejnych linii w latach siedemdziesiątych), ale kto odpowie, na jak długo?

Dziwięczy mi jeszcze w uszach koniec ostatniej telefonicznej rozmowy z Chełmem. Głos kierownika Stefańskiego: „Panie redaktorze, ostatnią nową lokomotywę dostaliśmy przed pięciu laty, tabor mi się wykańcza, szyn wąskotorowych nikt już nie produkuje, brak części zamiennych... Tłukę na razie jakoś tym, co mam na składzie... A kiedy będzie coś nowego? Na razie, to ja jestem, panie redaktorze, kierownikiem kolei na wymarcie...”

Jak to jest z tymi kolejkami wąskotorowymi; czy ich dni naprawdę mają się ku końcowi? Czy wciąż jeszcze rześko brzmiały marsz kolejek wąskotorowych ma się zakończyć ostatecznie akordem w tonacji mol?

Mirosław Derecki
Fot. Waldemar Stępień

DEBIUTY

Zbigniew Ateborski

Jaka to fala rozlala swe wody rozmywając ciała i ciała

tych, którzy idą w pokorze
i tych, którzy niosą wysoko uniesione miecze.
Jakie to moce powraca.

Pamiętaj synu.

Płynąłem między tymi, którzy szli.
Pozbawiony własnej świadomości i celu,
nie domyślałem się siebie w żadnej bitwie,
nie przeczuwałem w ramionach zdarzeń.
Z różnych stron i z różną siłą spadały na mnie.
Gwałt rodził gwałt, Słowo wypełniało się krwią.
Przenikaliśmy się, nie domyślając się siebie wzajemnie.

Płynąłem pomiędzy szkieletami ludzi i zwierząt,
czekając na cud, który przywróci im twarze.

Jaki to Siewca posiał ziarno

i jaki nad nim Rządca
zbiera tak okrutnie żniwo.

Jaki to topór spada na głowę brata,

jacy to zbrojni galopują.

Pamiętaj synu,

błogosławieni ci, którzy bronią swoich gniazd.

Płynąłem nad ziemią spaloną i martwą.

Sen rodził sen, noc powtarzała noc.

Czy tylko ja ocalałem, czy doczekam?

A jeśli przyjdą tu kiedyś do mnie jakieś wyspy,

nagie milczące skały — co im powiem?

Słowo? Że życie jest możliwe? Tylko tyle?

Jaka to fala rozlala swe wody
łącząc wody i wody.

Jaka to miłość powraca

i głos matki idący przez morze.

Pamiętaj synu.

Rafał Dąbrowski

Pierwsza przepaść bez dna

Słodyczy. Otwierasz dłońmi

Ufiność. Zmęczenie lotną wonią najwcześniejszego
Pojednania.

Lecz coś jest ze szkła

Lecz opuściłeś czarną zasłonę

Lecz powiedziałeś kłamstwo.

Złota brama zębów

Na chwilę. Czy to jedyne

Imię wystarczy? Kląłeś łatwość najwcześniejszego
Oczekiwania.

Czarne cienie wśród drzew

Rozkoszy. Depczesz owoce

Lata. Wiedziałeś będzie mgnienie najwcześniejszego
Upokorzenia.

Tadeusz Oszubski

wiem, że w siedemdziesiątym czwartym było nas czterech w tej chwili pozostało może dwóch wszyscy mimo wszystko już odeszli kilka dni temu spotkałem ostatniego stał w lustrze i uśmiechał się bo właśnie dziewczyna była dobra w łóżku godzinę później zakopałem go w wierszu wiem że w siedemdziesiątym czwartym było nas czterech ale tylko dwóch ten rok przeżyło kilka miesięcy temu spotkałem przedostatniego trzymał w ramionach syna urodzonego w dniu śmierci i tak ciągną się obaj za ręce biegnąc lasem on coraz bliższy i wykarmiony siedemdziesiątym czwartym syn

Kto pluje pod wiatr...

Tomasz Soldenhoff

POKRĘTNYMI drogami chadza małocę i prywatnie. Na drogach tych już od dłuższego czasu błąka się duch Romana Gorzelskiego. Roman Gorzelski — gwoli przypomnienia — jest znanym obywatelstwem konkursów i turniejów poetyckich, autorem licznych wierszy na każdą okazję oraz scenicznego arcydzieła pt. „Lectern”. Zna jego „specjalności” jest opiewanie — też przy każdej okazji. Opiwał już R. Gorzelski rozmaite rzeczy: miasto, środowisko... Teraz zabrał się do opiewania swego pokolenia. Nie zauważa jednak, że przy okazji zaniedbuje także siebie. R. G. jest bowiem typową ofiarą plucia pod wiatr.

Zanim jednak złośliwym autorowi wyrazi współczucia, przyjrzyjmy się raz jeszcze jego wynurzeniom. Kilkakrotnie już zwracano uwagę, że ulubionym gatunkiem literackim R. Gorzelskiego jest donos, a środkami artystycznymi: oczernianie, obrażanie, pomawianie, przeinaczanie bądź naginanie faktów i nadawanie środowiskowym plotkom eufemii poglądów (z braku poglądów własnych). Największym przykładem tej działalności jest tekst R. Gorzelskiego pt. „Leszcin-Waskiewicz — dokąd idziecie?” opublikowany (w zbrojnej redakcyjnej intencji) podtrzymywania za wszelką cenę atmosfery polenickiej w 7 numerze „Kamienia”. Tekst ten nawiązuje do opublikowanego tu wczoraj artykułu H. Matarskiego „Nadęty balon pokolenia”, wymierzony — najogólniej mówiąc — przeciw pokoleniomani i w naszym życiu literackim.

Do tego polemicznego artykułu zapragnął dołączyć swoje trzy grosze R. Gorzelski. Omijając upiśco swoją pieczę nad ogólnym pokoleniowym polemiki, wybiera sobie m.in. za obiekt niewybrednego ataku Andrzeja K. Waskiewicza i Jerzego Leszcin-Koperskiego, członków grupy poetyckiej i pisma „Orientacja”, debiutujących — podobnie jak Gorzelski — w początkach lat 60-tych, znanych animatorów i wydawców ruchu literackiego młodych, inicjatorów i redaktorów wielu ważnych dla młodej kultury książek i publikacji, m. in. unikalnej serii „Generacje”, serii „Pokolenie, które wstępuje”, antologii „Wnętrze świata”, „Debiuty poetyckie” i in.

Roman Gorzelski zarzuca Leszcinowi i Waskiewiczowi, że wymyślił coś tak dziwnego jak pokolenie „Orientacji” — na wzór pokolenia „Współczesności” zapożyczone i paru innych pokoleń, na które R. G. się powołuje. Wyjaśnijmy więc od razu, że pokolenie „Orientacji” nie zostało przez nikogo „wymyślone”, a było faktem, zaś wydawnictwa inicjowane przez Leszcin i Waskiewicza stanowiły jedynie trybunę dla wypowiedzi twórców debiutujących w latach 60-tych (w tym także wielu autorów młodszych, zaliczanych już do następnego pokolenia, związanego z Nową Falą). Wie o tym doskonale R. Gorzelski, tylko że z pewnych względów nie chce o tym pamiętać. Na dowód jego nieuczciwości, by nie powiedzieć — perfidii — cytuję. Oto w wydany w 1971 roku — przez Kogo... — wstępnie przez Leszcin i Waskiewicza — Suplement do dwunastu numerów pisma „Orientacja” znajduje się ankieta „Wobec

„Orientacji”, w której R. Gorzelski deklaruje swoją... pełną wiarę w pokolenie Leszcin i Waskiewicza, oddane sprawom „Orientacji” (jakże inaczej zaśpiewa po 7 latach):

Debiutowałem w roku 1960 — wspomina R. G. — tym samym niejakim ze względu na pololeniowo — chronologicznym jestem w pewnym sensie przypisany do „Orientacji”, zatacza, że jej poszukiwania artystyczne, jak też stosunek do otaczającej nas rzeczywistości jest w pewnym sensie sumą także i moich doświadczeń, bowiem towarzyszyły one nam wszystkim, naszym pokoleniu poetyckiemu. Weźmy chociażby sprawę samego zaopiniowania, wspólną dla całego „pokolenia 60” (...). Nonkonformistyczna postawa twórcza zbliża mnie do tego pokolenia — wyznaje dalej R. G. — Chodzi o ukazanie tego wszystkiego co nas łączy, dlatego możemy stanowić pewną zespół zbiorową (...). Chodzi o wspólny nieobojętny stosunek do rzeczywistości. I to jest ta cacha wspólna „Pokolenia 60” (...). Towarzyszy temu autentyczne ożywienie ruchu poetyckiego, wiara w funkcjonowanie prawdziwie samej poezji. I chyba są to niebagatelne osiągnięcia „Orientacji” oraz poetów wokół niej zgrupowanych (...). „Orientacji” — kończy R. G. — chodziło o to, aby poezja odgrywała ważną rolę w kulturalnym wychowaniu społeczeństwa, co też chyba jej się udało. Często realizować. Głos „Orientacji” nie napotykał obójnej próżni nawet w czasie działania w środowiskach trudniejszych niż inteligencja...

Minęło nieco czasu i R. G. — rzecznik pokolenia — zmienił opinię. W 1973 roku wypuszczał z siebie kadzidła dymu, w 1980 — zół i ślinę. Teraz nie tylko zaprzecza istnieniu pokolenia, nie tylko wypiera się „przynależności”, ale i jakiegokolwiek więzi z ludźmi, którzy... teksty R. Gorzelskiego publikowali i nagradzali. Uczestniczył bowiem i R. G. w tym dziwnym pokoleniowym tygry, o którym pisze. I nie tylko Waskiewiczowi pozwalał „zarobić” — jak to wyraża R. G. — Jerzy Leszcin, inicjator wielu akcji literackich i wydawniczych. Przy okazji — o czym R. G. przeżornie „zapomniał” — pożywał się przy Leszcinowym stole niejakim Roman Gorzelski...

Na łamach reszty „Orientacji” napisać można wiele razy na wisko Gorzelskiego. Inna rzecz, że podpisuje i takie teksty, w których bez ż-nady wyznacza swoje zasługi na polu młodoliterackim. Np. we wspomnianym już tu Suplementie do „Orientacji” — oprócz cytowanej wypowiedzi R. G. — znajduje się jego samowalczą nota pt. „Łódzkie środowisko poetyckie” (autor wymienia się w niej 4 razy). Teksty R. G. znajdujemy również we wcześniejszych numerach „Orientacji”, np. z grudnia 1970 — stycznia 1971 o Teatrze 77 i Łódzkim Dniu Poezji czy z lipca 1971 (o VII Łódzkim Spotkaniach Teatralnych). A że były to tylko skromne obójciowo noty i komunikaty? No cóż, skoro nie zdołał Roman Gorzelski zabić się ani jako krytyk, ani jako poeta, ani nawet tłumacz...

Wbrew temu, co dzisiaj twierdzi R. G. — święcie przekonany — jak powiada — że z wydatnością „Orientacji” i „Generacji” (n. b. R. G. stała przeinacza nazwę pisma, brzmiała ona „Orientacja”, a nie „Orientacja”) nikt się nie wybił, nikomu to nie pomogło, oprócz samych właścicieli firmy „Leszcin - Waskiewicz”, w tych i innych wydawnictwach pod patronatem ZSP debiutowało i publikowało wielu autorów, którzy — w przeciwieństwie do R. G. — działali na mapie kulturalnej z naczą i to często — poważnie. Skoro R. G. zmusza nas swoją (złotliwą?) ignorancją, wymienimy chociaż niektórych (niestety, sam R. G. się do nich nie zalicza i to go właśnie najbardziej boli pod maską faryzeusza, zatroskanego rzekomo o skutki publicznej działalności swoich — byłych — kolegów). Wymienimy więc np. Krzysztofa Gąsiorowskiego, Zbigniewa Jerzyńskiego, Janusza Zernickiego, Mariana Czychowskiego, Piotra Kuncewicza, Jerzego Górszńskiego, Macieja Z. Borowicza, Jarosława Markiewicza, Mieczysława Orskiego, Krzysztofa Mętraka, Michała Sprusińskiego, nieżyjącego już Edwarda Stachurę, że o ich młodszych kolegach — luminarzach Nowej Fali nie wspomnę.

Jeszcze większą bzdurą jest twierdzenie R. G. o znikomej roli serii poetyckiej „Generacja”, wzorowanej — jak to imputuje wydawcom R. G. — na jakichś seriach ukazujących się na Zachodzie. Przypomnij: „Generacje” wychodziły w latach 1971-76 i były zjawiskiem unikalnym nie tylko w skali polskiej. Docenili tę inicjatywę krytycy, poeci i działacze — jest seria nadal nie tylko obiektem poszukiwań bibliofilów i miłośników poezji, ale także przykładem modelowego rozwiązania serii poetyckiej, wzorem dla licznych tego typu inicjatyw, które w drugiej połowie lat 70-tych pojawiły się masowo w „nieoficjalnym” ruchu młodoliterackim, zastępując tym samym nie wywiązujące się ze swych obójciów wobec młodych) profesjonalne wydawnictwa.

Czy trzeba więc przypominać (chyba trzeba, przede wszystkim R. Gorzelskiemu, który zachłystuje się wręcz swoją ignorancją), że w tej właśnie serii wydano — po raz pierwszy po II wojnie — takich poetów, jak Peiper, Czyżewski, Yankowski (bez których obraz literackiej awangardy okresu międzywojnia byłby dużo inny)? Ze zbiorów Miłi Elin i Wacława Bojarskiego były w ogóle pierwszymi próbami zebrać ich rozproszony dorobek, że pięć tomików: Peipera, Elin, Czyżewskiego, Yankowskiego i Czuchnowskiego było zarazem pierwszymi w ogóle wyborami ich poezji!

Czy trzeba też przypominać, że to właśnie w „Generacjach” debiutowali poeci tak utalentowani, jak Andrzej Babiński (niestety, był to debiut i tak późny), zapomniany Ryszard Kozłowski, Wit Jaworaki, Włodzimierz Paźniewski, Zdzisław Jaskała? I — w końcu — czy trzeba nadmienić też, że w tej składnicy „amatorskiej”, półoficjalnej serii, zdaniem R. G. kumotersko-pokoleniowej — zechcieli wydać swoje tomiki poeci tej miary, co Jarosław Iwaszkiewicz, Adam Ważyk (w jego tomiku znalazł się szereg utworów wcześniej w książkach nie drukowanych), a także m. in. Zbigniew Bieńkowski, St. Swen-Czachorowski, Stanisław Grochowski (m. in. poemat „Allende”), Marian Grześczak? Jest więc wierszownym kłamstwem stwierdzenie Romana Gorzelskiego, że w „Generacjach” wydawali tylko swoje książki Leszcin i Waskiewicz oraz nieudacznicy literaccy zaprzyjaźnieni z wydawcami.

Wyjaśnijmy zatem i to jeszcze, że wśród 30 tomików składających się na 5 serii „Generacji”, w zestawie obejmującym kilka pokoleń poetów: od futurysty i Skamandrydy do debiutantów lat 70-tych, ukazało się zaledwie 5 tomów poetów z kręgu „Orientacji” (i to z czołówki). Były to książki Sadowskiej, Gąsiorowskiego, Jerzyńskiego i — także — Waskiewicza. Jeżeli zaś chodzi o „tomiki” (R. G. złośliwie używa liczby mnogiej) Jerzego Leszcin-Koperskiego, który — jak twierdzi R. G. — dużo sobie wydawał, a dopiero potem przy okazji innym, to w ciągu ponad 20-letniej nieprzerwanej działalności organizacyjnej i wydawniczej J. Leszcin ukazał się pod patronatem organizacji studenckiej tylko jeden, zaledwie trzydziestostronicowy tomik jego wierszy („Blizny w kanieniach”). O

tym, co stanowił sens życia i cel pracy tego człowieka, R. G. woli w ogóle nie mówić...

I tak dochodzimy do sedna zaciętrzewienia Romana Gorzelskiego, który, być może, ludał się kiedyś, że i on znalazł się w tak dobranym gronie poetów, jak współtwórcy „Generacji”. Być może okarzą do takich złudzeń było otrzymanie przez R. G. Nagrody Poetyckiej Młodych „Nike Warszawska” za rok 1969 (a na marginesie: ile lat miał wtedy ten „młody poeta”? Tymczasem organizatorzy — w założeniach konkursu — wydania tomików nie przyrzeka- li.

Żeby było śmieszniej, nagrodę tę otrzymał R. G. z rąk swoich „Orientacyjnych” kolegów, których teraz tak bez zmiżnienia powiek oczernia (którym imputuje, że we własnym interesie obrzyli wysokość nagród). Wiersz pt. „Rosja” dedykowany poległym na ziemi polskiej żołnierzom radzieckim z nagrodzonego cyklu „Wojna słowiańska” opublikowali zresztą Leszcin i Waskiewicz w „Orientacji” z grudnia i stycznia 1970-71. W kilka lat później, czyli dzisiaj, pozostało już tylko R. G. wymieniać ludzi, którzy go nagrodzili i publikowali, oraz przekreślać wartość pisma, w którym drukował podobne wiersze...

R. G. grzmi w „Kamieniu”, że Leszcin i Waskiewiczem przeoczył — tendencyjnie — możliwości wydania tomiku nagrodzonego w tym samym konkursie Rafała Wojacka (n. b. R. G. myli datę konkursu, który dotyczył 1969, a nie 68 roku i został rozstrzygnięty w kwietniu 1970). Organizatorzy — powtórzmy — jednak wydania tomików nie obiecywali... Nietrudno zauważyć, że tragicznie zmarły poeta — podobnie jak inni uważani przez R. G. za niedocenianych — stały tylko za parawan, a prawdziwym bohaterem pokrzywdzonym przez Leszcin i Waskiewicza jest on sam — Roman Gorzelski, któremu obaj wydawcy powinni byli dać tomik. Po latach dzielących od nagrody „Nike” tamten zawód wraca echem... Kamufaż jest wystarczająco nieudolny, by nie było sprawą oczywistą, że prawdziwym powodem ataku R. G. jego zarzutów, jest radawniiony uraz. Prywata leży u źródła większości pretensji R. G. co wylazi zwłaszcza w niby dowcipnych rozważaniach nad ewentualnością wydania tomiku R. G. przez Leszcin i Waskiewicza. R. G., powodem zaś śmiertelnego zębia mają być Leszcin i Waskiewicz, a zwłaszcza ich kompani o długich rękach, którzy siedzą tu i ówdzie i — w młotomarskiej wyobraźni R. Gorzelskiego rzecz jasna — tylko dybą na jego śmierć (po której — jak podkpiwa R. G. — zostanie doceniony).

Falsz, megalomania, kompleksy, prywatnie, niezdrowa kokieteria... — cóż jeszcze wygłada z tego tekstu, listnej mieszanki firmowej „by Roman Gorzelski”? Ano i to jeszcze, że nieproszony — i z gruntu fałszywie — podrywa się pod obrońcę literackiej młodzieży, stroi w plórkę „dobrej cioci”, której obowiązkiem jest ochrona młodych poetów, rzekomo zagrożonych — co zdaje się imputować R. G. — przed deprawatorski wpływ panów Leszcin i Waskiewicza.

Zarzuca im R. G. — z właściwym sobie, przyćmawianym poczuciem humoru — pozowanie na „młodych poetów”. W innym miejscu tego tekstu R. G. powiada jednak: kiedy byłem jeszcze tzw. młodym poetą i tłumaczem (teraz jestem już starym, bo członkiem ZLP)...

Wyjaśnijmy, że młodym poetą był Roman Gorzelski przez lat około dwadzieścia... a członkiem ZLP został zupełnie niedawno, bo w początkach 1980 roku. Tej ostatniej okoliczności — tak ważnej dla człowieka, który po kilkunastu latach dobiejania się zdobył wreszcie jeszcze jedną upragnioną legitymację — nie zapomniał zresztą R. G. odnotować, publicznie się chwając przed tymi, którzy by śmieli powątpiewać... Ale i tak kudy mu do np. A. K. Waskiewicza, którego nazywa „rzekomo młodym poetą”, a który członkiem ZLP jest od lat wielu, i to w dodatku aktywnym działaczem, filarem Komitetu Młodzieżowej ZG ZLP. A poza tym — naprawdę to da się udowodnić — poetą od R. G. o niebo lepszym.

Roman Gorzelski, charakteryzując w tym samym artykule A. K. Waskiewicza jako recenzenta, pisze, że wychodzi on na zawistnego poeć, któremu niebył się powołał. Jako poeć.

Zdanie to pasuje jak ulał do jego znakomitego autora. Teraz już naprawdę możemy złożyć Romanowi Gorzelskiemu zapowiadane wcześniej wyrazy współczucia.

Szanuję odmienne

Marian Yoph-Zabiński

DOBRZE się stało, że Henryk Matarski, zainicjował w „Kamieniu”, spór na temat blasków i cieni zaiste dziwnego funkcjonowania młodej poezji i roli krytyki w naszym życiu młodoliterackim. Wolalibyśmy jednak, żeby to był nie tyle pojedynek „na nazwiska”, ile przede wszystkim spór o uniwersalia poetyckie czy — szerzej — literackie. Jednakże tak nie jest, gdyż jeden z polemistów, Jan Rostan, w swym artykule pt. „Laski kulawych poetów” („Kamena”, 16.01.80) zaczęły po trosze wszystkie, np. ruch literacki „Gremium”, miast udowodnić płaskość młodej poezji i krytyki na podstawie przekonywającego materiału. Oczywiście, najcięższe działo wytoczył Roman Gorzelski („Kamena” z 29 marca) w artykule pt. „Leszcin-Waskiewicz dokąd idziecie?”. I znów jest

to tylko bezpardonowy pojedynek „na nazwiska”, a na razie w jednym tylko kierunku...

Czy rzeczywiście Leszcin-edytor i Waskiewicz-stworzyli sobie synekurę, by występować z pozycji arbitra, zwalając winę za niepowodzenia młodej poezji na innych? Myślę, że tak nie jest. Leszcin uczyńił dotychczas wyjątkowo dużo na rzecz integracji i periodycznej środowiska młodoliterackiego w skali ogólnopolskiej (w ciągu ostatnich 15 lat). Otrzymał on z tego tytułu, i słusznie, nagrodę miesięcznika „Poezji”.

Znaczam, że Leszcin-edytor nigdy niezego mi nie przyjął do druku, dlatego mogę z czystym sumieniem docenić niebanalną jego działalność. W roku 1977 Leszcin-Waskiewicz zaczęli wydawać serię arkuszy poetyckich pod znaczącym tytułem „Pokolenie, które wstępuje”. Są to arkusze, które wcześniej zostały nagrodzone na ogólnopolskim konkursie zorganizowanym przez re-

dakcję „Nowego Medyka” (dodatek artystyczny „Młoda Sztuka”) i „ITD”, pod patronatem ZG SZSP. Serie (dwie na rok) prezentują najmłodszych poetów, uczestniczących w studenckim ruchu kulturalnym i artystycznym, a ściślej prezentują twórczość laureatów kolejnych dorocznych konkursów, w nadziei, że będzie to w sumie obraz najciekawszych dokonań młodej poezji. Rozumiem, iż Leszcin-Waskiewicz w ten sposób chcieliby ułatwić pierwszy start młodym, to się im chwali. Inicjatywa wydaje się tym piękniejsza, ponieważ całkowity dochód ze sprzedaży arkuszy przeznacza się na Fundusz Centrum Zdrowia Dziecka, autor zaś otrzymuje dwadzieścia parę egzemplarzy bezpłatnie w zamian za niehonorowane swoje teksty, co się też chwali. Ale w niczym nie zmienia to faktu, iż w ten sposób nie zawsze wysokiej próby artystycznej poezji, nie mówiąc na razie o jej nijakich wyróżnikach ideologicznych i społecznych, zaczęła się pojawiać masowo...

Mam przed sobą 36 debiutanckich arkuszy poetyckich. Są niezwykle starannie wydane — to prawda, która dobrze świadczy o oficynie Leszcin-Waskiewicz. Nie umniejsza to jednak odpowiedzialności edytorów za kilka przypadków ewidentnej grafomanii. W 1979 r. seria VI zamknęła 36 tomików cyklu „Pokolenie, które wstępuje” (studenckich głównie twórców). W tej masie debiutantów da się zauważyć kilka rzeczy m. in. całkowitą prywatność sformułowań poetyckich, uniemożliwiająca społeczną obójtywizację wartości tekstów, ponieważ podmiot tej poezji zakłada negatywną sensowną recepcję świata i aktywnego oddziaływania. (może z wyjątkiem tomiku, najlepszego wśród 36, Eugeniusza Kurzawy pt. „Serial codzienny”).

Czy wobec tego warto czytać „sprywatyzowaną” poezję z oficyny Leszcin-Waskie-

wicz? Na pewno warto, choćby tylko z tego powodu, żeby jej ewolucji nie stracić z oczu... Gdyż dziś szybko zmienia się sposób reagowania poeć na Rzeczywistość i sposób usytuowania poeć w Rzeczywistości. Wprawdzie pewna liczba debiutów stała, nowi dokonania literacko nie znaczące (ba, a czy debiuty w „Czytelniku” bądź „Iskrach” wszystkie są znaczące?), to jednak warto czytać poetów „od” Leszcin-Waskiewicza, jak: Edwarda Kolbusa, Marka Jędrzejewskiego, Romana Chojnackiego, Tomasza Soldenhoffa, Henryka Dąbrowskiego, Władysława Zawistowskiego i Eugeniusza Kurzawę. Praktyce poetyckiej pozostałych autorów nie zawsze, niestety, towarzyszy wysoka próba artystyczna i próba społecznej recepcji Rzeczywistości.

Jeszcze parę słów o Waskiewiczach. Myślę, że nie należy tego skądinąd sympatycznego i zdolnego — sekundującego wytrwałemu nam wszystkim młodym — krytyka „zastawiać” argumentem, że wydal on parę własnych książek w Lubuskim Towarzystwie Kultury. To może być nawet powód do dumy! To po pierwsze. I po wtóre: argument polemistów nie polega na prawdzie. Zainteresowanym pragnę przypomnieć, że Waskiewicz m. in. opublikował tom poezji „Dziadziectwo” w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej (1965 r.), kolejny tom poezji „Przeżycie po człowieku” — w Wydawnictwie „Poznańskim” (1967 r.), oraz powieść „Dom z płaskim dachem” w „Osolinum” (1966 r.). Poprzedzane na tym skromnym wylczeniu tylko paru spośród innych książek Waskiewicz opublikowanych w oświeczonej oficynie. To, że Waskiewicz dotąd nie wydal swej książki w PIW-ie, co zarzucają mu jego polemicy, jest argumentem typu — bumerang...

Powiem w konkluzji: Leszcin i Waskiewicz są z odmienne. I za to ich szanuję.

ZAPEWNE mogłoby, on mogłoby, moglibyśmy to opowiedzieć inaczej, bez żadnego kłopotu, zgodnie z prawdą, która jest zmyślona, że bohaterowie każdego pisania to zawsze autor, tylko gramatyką i przebraniem odmieniony. Więc mogłoby mieć sześćdziesiąt lat, męczyć się w schodowych klatkach, pleść głupstwa i coś zrozumieć. A on miałby mieszkanie na czwartym piętrze, z balkonem otwartym w rozległe niebo, taki jeszcze młody, naiwny, dąży, nawet się nie domyśla, że w mrok, że tylko piwnice się przed nim otwierają, a ja Albin, trochę się tym martwię, ale jestem zbyt zmęczony i skromny, by mu to powiedzieć.

Mogliśmy też pomylić osoby w jeden strumień poplątanych świadomości, wszystko opowiedzieć bez gramatyki i przecinków, może nawet bez liter i słów. Ale nie na to nie poradzę, że obłe nasze postacie wyraźnie widzę i pamiętam osobno, pana Albina nie zmyśliłem, w każdym razie nie bardziej niż siebie, czuję, że to całkiem konkretna osoba, zadyszany i leniwy starszek, nudnym gadaniem i zwiędłą skórą tak oddzielony ode mnie, że do prawdy ja nie mogę być panem Albinem, który powiada:

— Czas to wielka tajemnica. Czasem widzą go jako potok lawy gorącej, innym razem jawi mi się w kształcie skorupy ślimaka.

— Poezja — odpowiadam. Za oknem wędzące, rozkwitające słońce.

— I znów mamy jesień — mówi pan Albin, nasz listonosz, wygodnie rozsiadając się w moim fotelu typu Kon-Tiki. Lubili w nim siadać, ponieważ bardzo trudno z niego wstać, a pan Albin, ściśle biorąc, nie był listonoszem, lecz doręczycielem depezy, któremu nigdy się nie śpieszyło.

— Depesza — tłumaczył — tak się nazywa od francuskiego słowa, które oznacza pośpiech. Więc musi się bardzo śpieszyć po drutach. Z szybkością, niech pan sobie wyobrazi, trzystu tysięcy kilometrów na sekundę. Ale później się zatrzymuje. Stop!

— I wcześniej też — mówię pośpiesznie i byle jak, bo moje myśli gdzieś indziej się śpieszą — Wczoraj stałem pół godziny w kolejce do okienka, żeby nadać telegram. Więc wreszcie krzyknąłem: „Proszę pani, ja tu już stoję pół godziny”. „A ja tu już siedzę dwadzieścia lat”, odparła mi ta pani.

— Bo człowiek to tylko człowiek — powiedział pan Albin, doręczyciel telegramów. — Na przykład jak coś takiego szybkiego niesie, choćby i powoli, to się zmęczy i musi odpocząć.

To powiedziawszy, szerzej rozparł się w fotelu, w którym ja, szczerze mówiąc, nigdy nie miałem czasu dokładnie usiąść.

— Dziwne — dodał i ta jego uwaga też mnie zaskoczyła swoją dziwnością. — Dziwne, że największy depezy dostają ludzie mieszkający na czwartym piętrze bez windy, pana nie obrażając. — Zdumiał się. — Może to dlatego, że w naszym mieście czwartych pięter najwięcej?

— Jak to możliwe? — zapytałem.

— Tak jakoś. Nie będę tłumaczył. Panu powiem tylko, że ze schodami nie ma żartów. I do tego nie trzeba być przedwojennym generałem. Każdy starszy człowiek powie panu, że to głupia nazwa: schody. Bo częściej się na te schody wchodzi, niż się schodzi.

— Jak to możliwe? — znów się odziwiłem. — Ile razy zejść, tyle razy muszą wejść i na odwrót.

— Bo pan jeszcze nie zna względności czasu — przyganił mi. — Jest nawet taka teoria. Ale szkoda o tym gadać, bo pan tylko praktykujący. Pewnie znów gdzieś śpieszono?

— Mam spotkanie.

— A te schody to też tylko z pośpiechu. Bo dawniej mądrze i pięknie wchodziło się na to mówili. To i wejść było łatwiej. Ale czy więc teraz macie czas i uwagę na jedną choćby literę, słowo, o pięknie i mądrości już nie mówiąc? „Przyjeżdżam wtorek dwudziesta trzynastego odjeżdżam środa szósta czterdziestego stop calujcie alicja”. Raz, dwa, jedna noc, żegnaj kochany. Ostatni list kiedy pan dostał?

— Dawaj pan wreszcie tę depeszę — mówię.

Powoli wyciąga z torby kartonik podwójny w kopercie. Ironizuje:

— Ozdobny blankiet. W wyblądle kwiatki fabrycznie ozdobny. I co on tam do pana piszą, z czym się śpieszą tak? „Sto lat z okazji urodzin”. To jakby pan miał żyć z okazji tylko, bez innej potrzeby i powodu? I aż sto lat tak bez sensu? — zapytał nie czekając na odpowiedź. Bo i tak by się nie doczekał, miałem pilniejsze zajęcia, niż myślenie.

— Może pan myśli zbyt powoli, wleją pod górę schodami — odparłem.

— Ale — mówi pan Albin — Inni też myśleli o tym od tysięcy lat i żadna teoria nie zadawała. A praktyka jeszcze mniej.

Nieco dotknął mnie ten cynizm, ale on zaczął mówić o stoikach.

— Niektórzy starożytni myśleli, że czas wciąż powraca, po wielkim pożarze wszystko zaczyna się od nowa, tak samo, i w nieskończoność, choć z przerwami, przeżywać będziemy wciąż to samo życie. To

Wschody

pana Albina

Janusz Daniłak

I on wreszcie schodził po tych schodach, znów gdzieś tam wchodził na czwartych piętrach innych ludzi, stary doręczyciel wyrzutów sumienia, Sokrates pocztowy.

Nieraz miałem ochotę napisać skargę do dyrekcji: „Wasz pracownik, Albin, sieje wśród ludzi niepokój, dopytując się, po co żyją i o inne takie nieprzyzwoite rzeczy”. Ale zawsze brakowało mi czasu na pisanie skarg, a i dyrekcja poufnie mnie uprzedziła, że nie ma czasu na ich czytanie.

Więc znów zjawiał się pan Albin z jakąś depeszą, bo cała moja rodzina oraz przyjaciele i znajomi to ludzie pośpieszni. Zona w wezasów pytała w telegramie „Czy podlałeś nasturcję na balkon?” Angelika depezyowała z Limoges: „Dlaczego nie depezyujesz, że mnie bardzo kochasz?”. Jurek z Wrocławia pytał telegraficznie: „Czy Nowoczerkask plaże się razera czy osobno?”. Przyjaciół z Lublina depezyował do mnie do Lublina: „Cześć stary”. Z tymi wiadomościami wchodził po wschodach na moje ezwarne piętro pan Albin, siadał w fotelu i pytał:

— Czy pan się boi śmierci?

— Nie wiem.

— Ja, jak w depozy jest śmierć, to zawsze wyczuję. I wtedy posyłam kolegę. Bo nie rozumiem,

ja w nieskończoność mam chodzić po tych schodach i wciąż nie nie rozumiem?

— W nieskończoność pan nie chodzi — powiedziałem już ze słotą. — Częściej pan siedzi w moim fotelu.

— Żeby zrozumieć. Powoli człowiek bardziej żyje, bo choć trochę pomyśli.

Znów się zadumał, a i ja trochę.

— To ja już może wolę wędrowkę dusz — powiedziałem. — Mówię, że przez jedno życie jesteśmy człowiekiem, ale potem drzewem, albo osłem, albo duchem na gwiazdach, albo zwykłym kamieniem. I to by mogło być ciekawe. Bo świat na pewno inaczej wygląda z punktu widzenia przydrożnego kamienia. Nie myśli pan?

— Panie Albinie! — powiedziałem.

— Tak tylko mówię. Bo naprawdę to każda wieczność jest nudna. I naprawdę swojej śmierci wcale się nie boję. Bo moja śmierć to nie moja sprawa. Nie ma mnie i już, więc nifak potem nie będę się tym martwił. Jak nie istnieje, to tym nieistnieniem kłopotać się nie będę. Inaczej ma się rzecz z narodzinami. Bo to one dopiero tworzą czas. A który ojciec a nawet mat-

ka choćby przez chwilę o tym pomyślała?

— Mało mają innych kłopotów? — zapytałem.

— Nie słuchaj.

— Bardziej mnie to przeraża, że kiedyś nie byłem, niż że kiedyś nie będę. Po prostu mi watyd, że nie walczyłem za Napoleona. Gdyśmy Hitlera dobijali, to pana nie było. I panu nie watyd?

— Nigdy o tym nie myślałem.

— A pańskiego syna nie było, jak pierwszy ludzki ładował na księżycu. I o tym pan też nigdy nie pomyślał?

— Niech mi pan nie zawraca głowy — powiedziałem. — Co to za depesza?

— Mówią, że czas nie może płynąć do tyłu. Ale w ludzkim świecie może, zwłaszcza jak poczta się psuje. A że poczta podupadła, to pan chyba przyzna.

— Chyba przyznam.

— No więc kiedyś mój syn marynarz płynął z Australii do domu. I z każdego portu po kolei wysyłał do nas list. Z Sydney najpierw, potem z Tokio, Djakarty, Bombaju, z Lagos, Dakaru, Casablanki, Londynu, Kopenhagi, Rostocku i Gdyni. Ale te listy do nas przychodziły tak, że najpierw był z Gdyni, potem z Rostocku, z Kopenhagi, na samym końcu z Tokio. No to dla nas syn, a z nim i czas, jakby płynął w odwrotnym kierunku.

— To już pan zmyślił — powiedziałem. — Bo nie uwierzę, że list z Gdyni przyszedł najszybciej. Ta depesza, co ją pan przyniósł, też jest z Gdyni. Trzy dni temu wysłana.

— No i co tam piszą? — zaciekawiał się.

— Ze wczoraj muszę być w Gdyni.

— To będzie pan jutro. I czas się odwróci.

Tym razem pan Albin bardzo szybko wszedł po schodach.

Ale jakiś niepokój w moim pokoju pozostawił. Może jednak czegoś nie rozumiem, a może w ogóle nie.

Choć nie napisałem na niego żadnej skargi, nie zjawiał się przez długi czas. Być może tylko dlatego, że żona przestała się martwić o kwiatki na naszym balkonie, bo się rozwiodłem, Jurek nauczył się pisowni, bo przestał być poetą, ośmieniłem się z Angelką i przestała mnie kochać, staremu przyjacielowi zabrakło pieniędzy na telegrafy, w Gdyni nie mam już żadnych interesów, a i moje urodziny, choć jakby coraz bardziej częste, nikt nie interesują. I mnie jakby mniej. Kiedy to wreszcie pojąłem, wysłałem depeszę sam do siebie. Z dużym poczuciem humoru. Tekst brzmiał: „Głupi jesteś”.

Z tym tekstem pan Albin wchodził na schody powoli. W samotności dobrze słyszałem jego ciężki krok. Siadł w moim używanym fotelu.

— Idzie zima — powiedział.

Zapalił się. Nigdzie się nie spieszyłem. Ale on milczał. Więc ja się rozgadałem. Milczał dumnie. Myślałem, że obrażony.

— Nie — powiedział. — Wczoraj przez sekundę przeżyłem więcej niż przez całe życie.

Znów zamilkł. Zacząłem prawie błagać, żeby opowiedział.

— Dobrze — rzekł — przez przyjaźń. Więc coś wtedy zrozumiałem. Może nieszczęście tylko w tym, że nie wiem co. Wiem tylko, że coś bardzo ważnego, najważniejszego. Czego jeszcze nie rozumiał nikt. I jestem z tego dumny. Tak, bardzo jestem z tego dumny.

— Panie Albinie — powiedziałem, wracając do rozradku. — Znów mnie pan nie przekona. Skoro pan nie wie, co pan rozumiał, to nie rozumiał pan nic.

— Bo pan myśli, jakby sękiera drzewo rąbał. A z człowiekiem nie jest tak. Ja się wtedy odmieniłem, w jednej chwili. A czy wielu jest takich? Czy wielu jest ludzi, którzy mogliby powiedzieć: „Ja coś naprawdę najważniejszego zrozumiałem”, choćby i nie wiedzieli co? Czy pan na ten przykład może to stwierdzić?

Jaka to jednak niesprawiedliwość, pomyślałem. Przecież siebie i Albina ja wymyśliłem, a oni mnie obrażają.

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Rozwodniona wiedza

Maria Barzentewicz

LZA się w oku kręci, kiedy czytamy o organizacji nauczania i wychowania w Liceum Krzemienieckim, które wypuściło ze swoich murów takich ludzi, jak Słowacki, Malczewski, Bernatowicz, Korzeniowski i wielu jeszcze innych. Nauka trwała tu lat dziesięć, stąd i moje „przymierzanie” owego słynnego zakładu do naszej dziesięciolatki: „Przymierzanie” wynika i stąd, że skoro jedna szkoła wykształcała tylu mężów znakomitych, widać zasługa to ludzi, którzy umieli proces kształcenia i wychowania doskonale zorganizować. A że nasza dziesięciolatka jawi mi się ciągle jako monstrum do straszzenia dzieci nauką (patrz jako matka dziecięcia skazanego na dziesięciolatkę i jako nauczycielka), stąd i moje porównanie tak odległe.

W Liceum Krzemienieckim rozpoczęto naukę na poziomie elementarnym, a kończono na znacznie przewyższającym poziom ówczesnych szkół średnich. Co więc decydowało o tych sukcesach? Moim skromnym zdaniem — przede wszystkim czas trwania zajęć. Otóż z reguły zajęcia trwały tam tylko cztery godziny dziennie: dwie godziny rano i dwie po obiedzie. Dwa popołudnia (wtorki i czwartki) były wolne. Było więc w krzemienieckiej szkole daleko mniej zajęć dla uczniów klas najstarszych, niż u nas dla najmłodszych... Ograniczona liczba zajęć w szkole umożliwiała uczniom bardzo dokładne przygotowanie się do lekcji. Prowadził je profesor główny, doskonale znawca przedmiotu, mający do pomocy dwóch korepetytorów. Kiedy dziecko wracało do domu (ściślej mówiąc na stację, gdzie zwykle mieszkało 6-8 uczniów ze wspólnym stałym korepetytorem; Czacki, Kollątaj i in. byli bowiem zdecydowanymi przeciwnikami konwiktów, w których gromadziło się ogromną liczbę młodzieży pod wspólnym dachem), zaraz musiało powtórzyć korepetytorowi cały wykład usłyszany w szkole. Chodziło bowiem o sprawdzenie, czy uczeń wszystko dobrze zrozumiał, a i o utrwalenie wiedzy. Przed następnym wykładem, drugi pomocnik profesora w szkole kontrolował, czy chłopcy nauczyli się lekcji ostatniej. Tym sposobem profesor główny, uwolniony od drobniagowej kontroli, mógł zająć się literaturą i eksperymentami.

Kładziono w Krzemieńcu nacisk na wszechstronne wykształcenie, a za takie uważano zaznajomienie ucznia z „prawem natury, prawem politycznym i prawem narodów, z ekonomią polityczną, tudzież ustawodawstwem krajowym”, gdyż bez nich żaden obywatel obejść się nie może. Starano się rozwijać „szlachetne zamiłowanie, upodobania i ambicje, kształcić charakter”, wychować ogromną armię producentów, którzy każdy obowiązek wykonywać będą sumiennie i umiejętnie. Chodziło też o nauczanie wychowanków umiejętności pokonywania trudności i uformowanie z nich ludzi czynu. Bowiem tylko ludzie czynu stanowią siłę społeczeństwa. Czy dziesięciolatka, stawiająca na zdobycie przez ucznia jak największą ilość wiedzy, znajdzie jeszcze czas na kształcenie charakteru?

U nas panuje takie śmieszne przekonanie, że „prawdziwym” człowiekiem staje się dopiero jednostka, której udało się zdobyć uniwersytecki dyplom. Zapomina się przy tym, że przecież ten, kto posiada dobrą, elementarną wiedzę, może sam pracować nad sobą i uzupełnić wiedzę, której szkoła mu nie dała. Najważniejszą zawsze będzie szkoła życia, dająca życiową mądrość, a nie okraszona znajomością wyuczonych formułek. Społeczeństwo bowiem nie

musi składać się z samych uczonych specjalistów, ale musi mieć mądrych ludzi i dlatego mądrość owa nie może być dostępna tylko na podstawie przepisanych egzaminów i określonych dyplomów, które rozdała szkolna burokracja. Ale czyż może istnieć egzamin z mądrości? A co to jest mądrość? To również zrozumienie przez człowieka miejsca, które zajmuje w życiu, na świecie, w swojej ojczyźnie, rodzinie, społeczeństwie. To również zrozumienie tych obowiązków, które człowiek ma jako dziecko, później jako głowa rodziny, jako Polak, jako człowiek między innymi ludźmi. Kto rozumiał obowiązków i wpływało na jego stosunek i kto przystosował swój charakter do tych obowiązków, ten jest człowiekiem mądrym i tę mądrość zawsze stawiać się będzie ponad wyrafinowane spekulacje specjalistów. Do tej mądrości każdy człowiek powinien dążyć bez względu, na jakim szczeblu wykształcenia poprzestął. Szkoła zatem powinna ucznia nauczyć, jak ma swoje wykształcenie poszerzać, i sprawić, żeby chciał nad sobą pracować. Ina nie się zdadzą „ambitne” programy techniczne uczoności, bo z nich niewiele w głowach zostaje, może tylko niechęć do książki zawierającej trudne do przyswojenia treści, może nienawiść do tych, co to przez dziesięć okrągłych lat turezli nad uchem: „ucz się, ucz się, ucz się, bo pójdziesz do pracy”, niechęć do szkoły, tego przybytku hałasu, zaduchu, potracania, narzekania i wszelakich przykrości.

W naszych szkołach stosuje się system encyklopedyczności. W Anglii nazywano kiedyś ten system „rozwodnioną wszechwiedzą” bo jakież korzyści może dać nauka powierzchowna i źle przyswojona? Dlaczego u nas zapomina się o starej zasadzie, że lepiej mało a dokładnie, niż wiele i byle jak? Byłoby kształcenie tworzy bylejakiego obywatela, co to zdolny tylko do produkcji buble. Nie jesteśmy na tyle zażośni, żeby sobie pozwolić na takie marnotrawstwo sił i pieniędzy oraz i na to, aby pominąć w programie 10-letki przysposobienie zawodowe dla każdego ucznia, nie tylko dla tych, którzy nie nadają się, bo nieetyczne zdaje mi się tworzenie klas specjalnych w normalnej szkole i przeprowadzanie selekcji przydatności do pracy lub do nauki. Niech każdy uczeń ma obowiązek zdobycia zawodu i szkoła powszechna powinna mu to ułatwić. To musi być przyuczanie celowe i długofalowe, bo dobry specjalista to człowiek z długoletnim doświadczeniem. Szkoła musi uczyć dokładności i precyzji w wykonywaniu obowiązków, bo to wiedzie do doskonałości. Współczesna cywilizacja nie znosi partactwa, gdyż grozi ono katastrofą. Dlatego sumiennosci i skrupulatności musi uczyć szkoła, od tego obowiązku jej zwolnić nie można.

Wiele jeszcze mankamentów ma najmłodsze dziecko polskiej oświaty. A chodzi przecież o to, żeby było zdrowe, silne, odporne na cioty i mądre. Żeby umiało odróżnić ziarno od plew, żeby może zechciało sięgnąć do naszych doświadczeń pedagogicznych i te, które są nadal aktualne, spróbowało wcielić w życie. Rodzimy nasz dorobek jest wcale bogaty, bo to i wielce zasłużona Komisja Edukacji Narodowej i również sławna dziesięciolatka, którą było przecież Liceum Krzemienieckie.

UCHODZĄC za odejście od anachronizmu, a jeszcze chętniej za wyraz współczesnej postawy umysłowej, która polega na preferowaniu faktów i wydarzeń (kariera „zdarzenia” jako nazwy dla imprezy plastycznej), zadomowiła się najzwyczajniejsza sztampa. Może nie sztampa, maniera na pewno. Maniera ta nakazuje „urealnienie” problemów w ten sposób, że odbiera się im wszelką perspektywę filozoficzną na rzecz łatwej i „sprawdzalnej” wymowy. Ciekawe, jak by rzecznik podobnej orientacji napisał np. historię filozofii. Platonizm byłby wykwiłem ateńskiej arystokracji oderwanej od życia, natomiast wykazującej skłonności do homoseksualizmu, kandydaturą sprawą królewieckiego samotnika, który przez osiemdziesiąt lat nie znajdował się dalej niż siedem kilometrów od rodzinnym miastem, Locke zapisałby się przede wszystkim jako dworak i uczestnik politycznych awantur. Owszem, to wszystko nawet prawda, ale punkt widzenia! Jeśli — jak powiedział kiedyś Ważyk — historię ostatniej wojny będziemy rozpatrywali pod kątem zmian w umundurowaniu, stwierdzimy, że Armia Czerwona otrzymała pagony, a nie dostrzeżemy Stalingradu.

świata ma prawo wpływać na rytm życia umysłowego. Ale sposób traktowania spraw — bo nawet nie problemów — doradny, przyspieszony, popędzony „szlucznymi niecierpliwościami, jak tamte jarzyny chemia. Ten z ochotą eliminuje punkty widzenia co bardziej zasadnicze, istotne, filozoficzne, jako opóźniające proces dochodzenia do łatwych konstatacji. Dzisiejszy intelektualista przypomina dodatkowo producenta wina, który chce mieć ten napój na drugi dzień po wygnieceniu owocu.

Powtarzam: nie jestem przeciwnikiem szybkiego tempa, kwestionuję uproszczenia współczesnej umysłowości nie ze stanowiska bółwia, dla którego cokolwiek się zmienia, zmienia się za szybko. Ale niejakości treści, podszuwających się pod stanowiska publicystyczne, zdumiewa. Zdumiewa brakiem reakcji, aprobatą czytelnika, brakiem sprzeciwu wobec namiastki. Czy już zdążył się wychować nowy adresat kulturowego przekazu? Czy nowy „model uczestnika w kulturze” polega na bezkrytycznym przyjmowaniu stwierdzeń o zerowym walorze?

Utarło się, że powiedzieć coś od siebie to odstąpić się, wydać się na porozumiewawcze milczenie kryjące uśmiešek ze staroświecczyną. Pan w getrach, pan z zamkiem do

W KRAJOBRAZIE SŁÓW

Drobnointelektualizm

Zygmunt Mikulski

Punkt widzenia. Rozważanie spraw kultury obywateli się bez tej humanistycznej refleksji, jaka jest tego zajęcia zasadniczym warunkiem. Stylistyka, akustyka. Za naiwne uchodzi zastanawianie się nad tzw. celem istnienia, przeznaczeniem człowieka, uwarunkowaniami ludzkiego losu, tymi niespodziewanymi fenomenami, które pochodzą z twórczości. Generalia ustąpiły partykulariom, by nie powiedzieć — partykularzowi. Są nie w „stylu”, w „duchu”. Dawno już nie czytałem — a nie hude się, że przeczytałem, jeśli nie sięgnę do biblioteki, tego muzeum literatury — artykułu wynikłego z pozycji bezpośredniego uczestnictwa w problemach rozumianych jako dziedziny twórczości i wątpliwości umysłowej, a nie jako tematy biuletynu i raportu. Gdzie dzisiejsza „Legenda Młodej Polski”, „Walka o treść”, „Wielość rzeczywistości” — dzieła wyrażające stanowiska w sprawach generalnych kultury? Zastępuje je doraźna krótkometrażówka informacji, komunikatów, w najlepszym razie polemiki powstałych z tego, że pan X nie widzi wielkiego znaczenia pana Y. Publicystyka kulturalna nie istnieje.

Zaczynam tęsknić do epoki „pryszczatych”. Schematyzmu postaw realizowanego z tym naturczywiej demonstracyjnym zaangażowaniem, które prawem paradoksu rozdziło nawet rzeczywiste wartości. Mówię, wartości? Nie przesadzam z atencją dla okresu kalk, powtórek i monostylu? Nie przesadzam. Właśnie dlatego, że teza była tak nieodkrywcza, w sam akt jej wyznania należało włożyć tyle inwencji, by per saldo efekt mógł być dodatni. Nawet wyczuwając okolicznościowość wystąpień, widziało się ich tradycyjną dobrą szkołę, nie obciążoną jeszcze manierami przywianych z Zachodu, a pobudzających snobizmy eksperymentów. Publicystyka była unisono, ale dobra. Dobra też — nie w znaczeniu szerokiego wyboru światopoglądowych postaw, ale rzemieślniczej roboty — poezja. Bo czytelna, bo sprawdzalna, nie wystrzelona w rejony nieważkości, gdzie każda pozycja jest jednakowo uprawniona. Porównajmy dzisiejszą „rewolucyjność” środków formalnych z rzeczywistą odkrywczością Czechowicza. A Majakowski przy nich to niemal „wstecznik”.

Dzisiejszy umysł jest nowobogackim. Badylarzem, który wzbogacił się na „tunelowej” uprawie pomidorów sztucznymi środkami, pozbawionych naturalnego smaku. Już nie chodzi o sam pośpiech. Tempo

przecierania binokli — oto etykiety przyklejone komuś, kto w rozważaniu spraw posługuje się kryteriami wynikającymi z filozoficznych generalizacji, a nie z orientacji w specyfice środowiskowych aktualności. Bądź au courant — to znaczy nie wglębiaj się zanadto w żaden problem, bo ta postawa już dawno przesiąknęła myślką. Wymagając powagi, ośmieszysz się tylko, precz z naftaliną, my zaopatrujemy się tylko w artykuły z metką ósmego dziesiątka dwudziestego wieku. Wszystko, co ujęte szeroko, jest ujęte za szeroko. Znamieniem współczesności jest specjalizacja, specjalizacja; kiedy to coraz więcej wiemy o coraz mniejszym wycinku rzeczywistości, dojdzie do tego, że będziemy wiedzieli wszystko o niczym.

Co się w takim razie stało z biednym realizmem? Został wylany z kąpiela. Ludzie kierujący się „rzeczowym”, „nie stęplonym” spojrzeniem na rzeczywistość nie widzą, że mimo wszystko ich sposób traktowania nie jest jeszcze jedyny. Jeszcze. Więc niech będzie, że współczesna świadomość oczyszcza się z mgławic gombrowiczowskiej pękowatości, czy zgola paseistycznej świętej naiwności. To właśnie dałbym tym postawom możliwość skompromitowania się do końca. Niech się ciągle rozmijają z rzeczywistością, nie trzeba ich będzie zwalczać. A może coś z racji w nich jednak się znajdzie i wtedy na podstawie tej właśnie przedmiotowości, proklamowanej jako intelektualny savoir vivre epoki, przyda się do zaproponowania słuszniejszych kryteriów? Lepsze jest wrogom dobrego. Niestety, w życiu umysłowym dziś się nie argumentuje. Wystarczająco gęsty jak w zgranym towarzystwie, w którym kciuk skierowany na dół informuje, co o czymś czy o kimś należy sądzić.

Stąd pochodzi anemia publicystyki: z ostrożności większej, niż nawet chęć wniesienia rewelacji. Publicysta zazwyczaj postępuje tak, jakby chciał wykazać: patrzcie, jak uchwyciłem obowiązujący konwensans, ja też nie nie myślę. Niedawno czytałem („Polityka”, 1980, nr 9) artykuł „Rzeczpospolita kulturalna”. Dowiedziałem się, że w Polsce jest stolica, że jest kilka ośrodków większych, które jednak stolicami nie są, i że techniczne możliwości artystycznego działania w Warszawie są większe, niż w Poznaniu, Tarnowie i Lublinie. Płonę z ciekawości, czy istnieje w Polsce komunikacja autobusowa. Bez publicysty nie będę wiedział.

Rozpoczynamy druk felietonów Jana Szorca, redowitego lublinianina, w których autor przypomina swoje kontakty z wybitnymi czy ciekawymi ludźmi w latach 1941-1946 w Lublinie. „Nie jestem pisarzem, ani dziennikarzem, czy też publicystą. Z wykształcenia byłem urzędnikiem administracyjnym, z konieczności — kupcem, z zamiłowania — muzykiem, a moje myśli mogą przekazywać w słowach jak najprostszym — charakteryzuje sam siebie absolwent Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, wieloletni pracownik Filharmonii Lubelskiej, mąż zmarłej kilka lat temu poetki, Heleny Platty. My zaś życzymy Czytelnikom dobrej lektury wspomnień J. Szorca, na pewno chwalać się autentycznością zapisu.

KIEDY w czasie okupacji niemieckiej pracowałem jako urzędnik w Izbie Przemysłowo-Handlowej, znajomi ze Stowarzyszenia Kupców doradzili mi, abym wspólnie z kolegą po fachu założył sklep spożywczo-kolonialny. Taka okazja nadarzała się w hali targowej przy ul. Lubartowskiej 17. Myśl była dobra, gdyż brakowało nam pieniędzy, ale lokalizacja na tyłach hali niekorzystna, w dodatku mój cichy wspólnik dosłownie ucichł i handlem się nie zajmował. Ja organizowałem swe zajęcia handlowe w ten sposób, że z biura ulatniałem się między godz. 11-15, potem znów wracałem. Czy nasi komisarze niemieccy orientowali się, że prowadziłem sklep, do tej pory nie wiem, w każdym razie informowali petentów, że w tych godzinach nie ma mnie w biurze.

W sklepie miałem do pomocy kobietę z kresów, którą żona nazywała „Targowla za rogiem”. Szybko wymieniliśmy ją na młodszą dziewczynę z Helenową pod Lublinem. Kilka miesięcy przed wyzwoleniem zamieniłem sklep na lepszy przy ul. Nowej 23 (obecnie ulica Rady Delegatów). Był to punkt dobry,

w centrum dzielnicy handlowej, a prowadziłem sklep już samodzielnie. Formalnie wyglądało to w ten sposób, że właścicielką na szyldzie była moja małżonka, Helena Szore, która do momentu wyzwolenia pracowała równocześnie jako redaktor spraw kulturalnych w „Sztandarze Ludu” pod nazwiskiem Heleny Platty. Ja byłem tylko skromnym kierownikiem sklepu — jak zarzowali znajomi — wyzyskiwanym przez „kapitałistkę”. Odpowiednie uprawnienia mieliśmy na papierach urzędowych.

Gdy nastąpiło wyzwolenie, znajoma hurtowniczka doradziła mi, abym kupił u niej po urzędowej cenie 50 dwudziestokilogramowych worków soli, sugerując, że taka ilość może się wkrótce przydać. Tona soli zapchała cały sklepik. Co dzień po kilka worków znosiłem do pobliskiego mieszkanka i udekorowałem nimi całą ścianę ostatniego pokoju. Nadszarpnąłem tym serce, ale czego się wówczas nie robiło dla sztuki życia! W wyzwolonym Lublinie, odcieciym od kopalń soli (Wieliczka i Inowrocław) były jeszcze zajęte przez Niemców, brakowało tego artykułu pierwszej potrzeby. Sprzedawałem więc sól tylko znajomym kupcom po nieproporcjonalnie wysokich cenach, dzięki czemu miałem na jakiś czas zapewnioną egzystencję. „Jam nie z roli, ale z soli” — mówiłem sobie i tak wspierałem budżet domowy.

Owczesna ulica Nowa była ruchliwą. Wszelkie tabory, auta wojskowe przejeżdżały obok sklepu. Okazji do pohandlowania było aż nadto dużo. Za papierosy, bibułkę do papierosów, machorkę itp. można było otrzymać wartościowe książki, jak np. „De Revolutionibus Orbium Caelestium” Mikołaja Kopernika (III wydanie w języku łacińskim), wydanie zbiorowe dzieł Mickiewicza (Lipsk 1862 r.), pierwsze drukowane książki w języku polskim z

1468 r. z drukarni „Bracia Wierzbicini” z Krakowa i wiele innych. Większość książek uzupełniła naszą skromną bibliotekę literacką, inne odstąpiłem za przedmioty bardziej prozaiczne.

Na kilka dni przed wymianą pieniędzy, tzw. „młynarek” na złote ludowe, urządziłem się w ten sposób, że sprzedałem cały towar i kupiłem 5 kg pieprzu ziarnistego, jedynego artykułu, który po wymianie podrożał.

Żona moja szybko nawiązała znajomości ze światem literackim, który przybył do Lublina i wznowiał tutaj swoją działalność.

Pani Maria Bechcyc-Rudnicka, literatka pracująca na kierowniczych stanowiskach w Wojewódzkim Wydziale Kultury i Sztuki, upodobała sobie nie tyle mnie, ile sklepik, który prowadziłem. Doszła do przekonania, że sklep ten doskonale by się nadawał jako miejsce, w którym można by rozdzielać przyznane przez PKWN zapomogi dla literatów, naukowców itp. Gdy żona wyraziła na to zgodę, otrzymałem długą listę z nazwiskami około 50 osób i odpowiednią kwotę pieniędzy. Kiedy przyszedł Jan Parandowski, zdziwił się, że sklepikarz rozdziela zapomogi. Jeszcze bardziej był zdziwiony, gdy zobaczył obecną w tym czasie w sklepie panią Bechcyc-Rudnicką, którą wdzięcznie prosiłem, aby przywiozła mi z niedawno oswobodzonego Krakowa 10 tuzinów pasty do butów „Roooot”.

Słyszając to, wtrącił Parandowski: „Co za dziwna, zupełnie nieliteracka rozmowa, jakieś cyfry, procenty, nic się na tym nie znam. Umiejętność obliczać należne mi tantiemy autorskie oraz okna na dziedzicu KUL, których jest 100”. Zapomogę odbierał: Kazimierz Andrzej Jaworski, prof. Kleiner, Elzenberg, redaktor Gralewski i wielu innych. Do sklepu przychodził często muzyk jak: dyrygent Zygmunt Szcze-

pański, skrzypek Stefan Rachoń, pianista Aleksander Wielhorski, ale już nie po zapomogi, lecz podziękować żonie za kilka ciepłych słów umieszczonych w prasie codziennej o ich występach.

Do dyspozycji bezdomnych literatów oddany został przez PKWN dawny majątek ziemski Ciecchanki, położony około 5 km na południowy wschód od Łęcznej, posiadający park i zabytkowe drzewa (obecnie zajęty przez POME). Opiekę nad nim miał pełnić Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki, a korzystał Związek Literatów. Nie bardzo bezpiecznie było w tych niespokojnych latach przebywać za miastem, toteż przeprowadzona została powtórna parcelacja majątku Ciecchanki przez co bardziej przedsiębiorczy literatów, Szafy, krzesła, kozetki i inne graty wędrowały do Lublina na uzupełnienie wyposażenia ich mieszkań. Zaś takie zdobycze jak dwie beczki ogórków kiszonych wyładowano do mojego sklepu, a żywe kury, kaczki i gęsi znalazły się w ciemnej piwnicy pod naszym mieszkaniem. Ciekawy obrazek zobaczyłem kiedyś w piwnicy, kiedy dwie znaczne żony sławnych profesorów wyjaśniały sobie, nie przebiegając w słowach, na czym polega sprawiedliwy podział drobiu żywego.

Wreszcie już mi się znudziła rola sklepikarza, tym bardziej, że zainteresowała się mną dyrekcja Centrali Rybnej w Lublinie. Upatrzyli sobie moją osobę na stanowisko kierownika nandowego, zastępcę dyrektora. Uważałem, że mając ukończoną wyższą studia ekonomiczne, praktykę biurową i sklepową, będę się nadawał na to stanowisko. Sprzedałem sklep z towarami zawodowemu kupcowi, a oprócz gotówki otrzymałem na dodatek 5-tomowe dzieło Momena pt. „Rzym”. I tak po pięciu latach sklepikarstwa objąłem pracę w Centrali Rybnej.

Tair Teatro Arcoiris

JEST to zespół bardzo młody i mały, liczący zaledwie cztery osoby, pracujące pod artystycznym kierownictwem Nicola Savarese. Grupa teatralna, utworzona w grudniu 1975 roku jako laboratorium poszukiwań aktorskich, do 1978 roku pracuje na starym strychu, wynajętym na przedmieściach Rzymu. W 1979 roku członkowie teatru opuszczają swoją pracownię i postanawiają „wędrować” po całym świecie z przedstawieniami. Ich spektakle są kreacjami kolektywnymi, powstają z poszukiwań indywidualnych, z fragmentów dokumentów historycznych, z wrywków tekstów literackich, wreszcie z improwizacji na różne tematy (również muzyczne). Członkowie zespołu Teatro Arcoiris pochodzą z kraju o wyjątkowo bogatej ludowej tradycji teatralnej. Ich koncepcja sztuki widowiskowej jest kontynuacją ludowego teatru, rozumianego bardzo szeroko. Nie wyzyskany zrodził widać jest dla nich zarówno commedia dell'arte jak i teatr

Wschodu, fascynujący ich tymi wartościami, które na pewnym etapie rozwoju, na skutek zabiegania o łatwy poklask publiczności, zatraciła włoska „commedia” improwizowana.

Jak tłumaczy wyjątkową żywotność i jednocześnie niezmienną teatru wschodniego zespół teatru Arcoiris? Czy jest to dla niego istotne, czy też fascynacja Wschodem przejawia się w mechanicznym przejmowaniu cech najbardziej egzotycznych, co wydaje się zresztą dosyć typowe przy obecnej modzie na kulturę wschodnią?

Odpowiedzi na te pytania spróbujemy poszukać w tym, co przedstawił Teatro Arcoiris w ciągu pięciu długich wieczorów w sali widowiskowej Chatki Zaka. Większość czasu przeznaczona była na prezentację dokumentalnych filmów, skompletowanych przez członków włoskiego teatru w instytucjach etnograficznych różnych uczelni. Przegląd filmowy widowisk teatralnych Wschodu dawał przynajmniej wyobrażenie

zadziwiającego świata orientального teatru. W swoim komentarzu Nicola Savarese podkreślał ogromną precyzję i sztukę sztuki aktorskiej ludów Wschodu. By sprostać tak wysokim wymaganiom, nauka w tym zawodzie trwa np. około dwudziestu lat w japońskim teatrze no, na wyspach Bali już maleńkie dzieci przyuczane są do podstawowych ruchów tanecznych ręk. Równie długo musi się kształcić aktor chiński, aby poznać wszystkie tajemnice śpiewu, tańca, pantomimy, szermierki, akrobacji, żonglerki. Tak długi czas nauki i duże umiejętności sprawiają, że pozycja społeczna aktora na Wschodzie jest bardzo wysoka — artystę teatru traktuje się tam jako kapłana sztuki, którego życie tworzy nierozdzielnie jedno z eufornicznym poświęceniu się teatrowi. Również na scenie sztuce aktorskiej podporządkowane są pozostałe środki wyrazu artystycznego.

Dwa przedstawienia Teatro Arcoiris także przyznały priorytet grze aktorskiej. Akcja rozgrywała się w ubogiej dekoracji, sprawdzonej w zasadzie do paru rekwizytów i do prowizorycznego wejścia z zasłonkami, służącego w pierwszym widowisku „Turandot” za scenę teatru cieni. I chyba ten mały teatrzyk cieni był jedynym elementem, który basował jakieś skojarzenia z teatrem wschodnim. Całość przedstawienia, składająca się z luźno powiązanych rozmów, fragmentów tekstów, wygłaszanych w językach: angielskim, niemieckim i włoskim, solowych popisów sprawności fizycznej — sprawiała wrażenie wielkiej parodii nowoczesnego teatru Zachodu. Rozpoczęte działania bohaterów były jak gdyby hamowane wewnętrznym przekonaniem postaci o swojej nieudolności, nieumiejętności wyrażania i zamierały w połowie. Przedstawienie było swobodną auto-parodią teatru zachodniego, który chce

bardzo dużo wyrazić, ale zbyt mało wie o środkach wyrazu.

Drugi spektakl, zatytułowany „Jeu de l'an deux”, przedstawiał historię grupy francuskich aktorów-wywrotowców w momencie przejścia od jednego ustroju do nowego ery, otwartej przez Rewolucję Francuską. Aktorzy muszą zareagować na nową sytuację poprzez zmianę repertuaru, dopasowanie stylu i tematów do nowej publiczności. Zmusza ich do tego przede wszystkim sytuacja finansowa — konieczność znalezienia nowego mecenasa. Pomaga im w tym poczucie groteskowości czasów zamętu i chaosu. Śmieją się z rewolucjonistów, z ich megalomanii, z ich manii ustalania wszystkiego od nowa, aż do kalendarza włącznie (stad tytuł spektaklu — „Gra roku drugiego”, drugiego w nowej erze Rewolucji Francuskiej). I tak, jak w poprzednie omawianym przedstawieniu, tylko kontekst filmowy o teatrze wschodnim porwała ustalić głębszy sens spektaklu, dotyczący sytuacji teatru w kulturach, w których sztuka jest uzależniona od wartości tak nietrwających, jak polityka. Teatr Wschodu ustrzegł się tego niebezpieczeństwa, czego dowodem jest stałość repertuaru, który trwa przez wieki w prawie niezmiennych postaci. Powracanie do tych samych legend, mitów, wydarzeń historycznych odsuwa na drugi plan fabule i pozwala skupić się aktorowi na wartościach ponadczasowych. Wydało mi się, że droga twórczego rozwoju Teatru Arcoiris, prowadząca w kierunku teatru wschodniego, jest jak gdyby próbą odnalezienia tych wartości, których zabrakło dawnej commedia dell'arte i których również często brakuje współczesnemu teatrowi kultur zachodnich.

Zofia Zielińska

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 50 LATY

© 1976 r. będzie rokiem dobrego radiowego odbioru. Prognozy ten opiera się na danych astronomicznych; wiadomo,

że astronomowie ustalili dwa okresy periodycznego przemijania plam słonecznych — jeden trwający jeden rok, drugi zaś dziesięć miesięcy. Ponieważ plamy słoneczne wpływają na wytwarzanie się na górnych szczeblach naszej atmosfery tzw. warstwy „Heavysidea”, stanowiącej dla fal eteru poważną przeszkodę, rozumie się samo przez się, że jakoś odbioru pozostanie w odwrotnym stosunku do ilości powyższych plam. Operując się na tych danych, obliczono, że do końca 1979 roku odbiór będzie zupełnie zadowalający, następnie dadzą się odczuć skutki małego cyklu plam, który wpływać będzie na odbiór ujemnie aż do lata 1981 roku. Od tej daty wreszcie czeka nas sześć lat idealnego odbioru, zakończonych wpływem 15 miesięcznego cyklu w bardzo nieznaczny stopniu.

© Jedną z największych bolączek naszego królestwa jest brak należytej organizacji zbytu skórek króliczych. Sprawa ta wymaga rozstrzygnięcia w najbliższym czasie wobec wzmagającej się w kraju produkcji futerek króliczych. Dotychczasowe zabiegi w tym kierunku nie daly pomyslnych wyników, wobec czego Centralny Komitet do spraw Hodowli Drobiu rozpoczął akcję w kierunku zorganizowania centrali

skupu skórek króliczych. Wymieniony komitet ma zapewniony współdziałanie związków producentów królików oraz innych organizacji zainteresowanych tą sprawą.

© Stacja autobusowa za Magistratem w Lublinie. Na stacji stoi w kwadracie szeregu autobusów zamiejskich. Stoją odcinami według podziału na tzw. szlaki, czyli kierunki. Najruchliwszy jest szlak w stronę Piaski Wielkich. Na Chelm, Hrubieszów, Zamość, Krasnostaw. Podchodzą do autobusu Lublin — Piaski. Rupiec, Rozkietoty, wyglądają raczej na stare brudne pudło, niż na autobus pasażerski. Siadamy jednak, bo ma odejść pierwszy. Konduktor zapewnia, że zaraz ruszamy. Jest godzina 10 min. 45 przed południem. Ulokowawszy się jako tako w samochodzie, czekamy. Na Bramie Krakowskiej bije 11.

— Panie Hereszko, kiedy jedziemy?

— Zaraz, zaraz, tylko jeszcze jeden pasażer. — I znów czekamy.

Mija godzina 11 min. 15, samochód stoi.

— Panie Hereszko...

— Panie, już, zaraz już się maszyna kręci.

Godzina 11 min. 30, samochód jeszcze stoi. Jeszcze są dwa miejsca wolne. Pa-

szazerowie zaczynają się niecierpliwić. Niektórzy chcą przejść do innego wozu. Oburzenie.

— Proszę panów, zaraz...

O godzinie 11 min. 45 samochód wreszcie rusza. Owe Hereszkowe „zaraz” trwalo więc nie mniej jak godzina. Czy to człowiek nie może wyprowadzić z równowagi?

© Rozsławieni „bracia” zakładu przy ul. Narutowicza 43 chodzą do domu do domu i zbierają ofiary na biedne dzieci. W czasie tej kwesty odwiedza, że są braćmi zakładu św. Wojciecha na Podwalu i że zbierają na wychowanków właśnie tego zakładu. W porozumieniu się z miarodajnymi czynnikami stwierdzamy, że jest to fałsz, bo z zakładem św. Wojciecha nie ma wspólnego, o czym już niejednokrotnie pisaliśmy. Należy kwestarzysty tych zawsze legitymować i odsyłać ich do urzędów, na które oni się powołują, że są ich opiekunami.

„Głos Lubelski”

Wybrała Anna Orzechowska

Kamena str. 13

Hitler nadchodzi

SPOŚRÓD wielu wypowiedzi światowej krytyki na temat „Jaju węża” Ingmara Bergmana najbardziej zapadła w pamięć uwaga Gordona Gow w „Films and Filming”: Z doła od Szwecji i swej ukochanej wyspy Faj, Bergman wybrał trudny temat i zrealizował go w monachijskim studio z zespołem technicznym i aktorami o innej, niż jego, narodowości. Jeśli wynik jest poniżej poziomu, wiemy, że poziom ten jest niezwykle wysoki. Znajdujemy w filmie dowody talentu Bergmana, choć temat w tym kształcie nie oddziaływał w sposób taki, jaki został niewątpliwie zamierzony.

Istotnie. Rozważa Bergman w „Jaju węża” tak bardzo wyciął dla nas żywy problem narodzin faszyzmu w Niemczech: zagadnienie etyki w działalności naukowej, sprawę niebezpieczeństw płynących z chęcią manipulowania ludźmi, wreszcie — stawia kolejny raz w swej twórczości pytania na temat moralnej odpowiedzialności artysty wo-

bec zła. Ale twórca „Siódmej piątej”, „Wieczoru kuglarzy”, „Persony” i „Twarzą w twarz” jakby się niekiedy gubił w temacie, jakby kłotał się wśród scen, ujęć, pomysłów z wielu swoich poprzednich filmów, nie mogąc się zdecydować na jakąś wyraźną drogę. Bergman znalazł się na obcym dla niego terenie, nie tylko w sensie geograficznym, i widać to w tym filmie zdecydowanie. Jakże złośliwe, ale zarazem jak bardzo trafne, jest stwierdzenie pewnego krytyka, że przedstawiane przez Bergmana w „Jaju węża” Niemcy z okresu republiki weimarskiej są... widziane okiem szwedzkiego turysty, dla którego księża zawsze noszą w sobie poczucie winy. Jest wreszcie jakimś zgrzytem pewna zbieżność z głosnym, dotyczącym tego samego okresu i toczącym się miejscami w podobnej scenarii, „Kabarecie” Boba Fosse'a.

Zarówno w „Kabarecie” jak i w „Jaju węża” akcja rozgrywa się w Niemczech z początku lat dwudziestych, w okresie narastającej coraz bardziej inflacji i bezrobocia, zamętu politycznego i gospodarczego, w atmosferze rozgoryczenia z powodu przegranej wojny i szukania przez społeczeństwo dróg wyjścia z istniejącego stanu rzeczy. Dla precyzyjnego obserwatora tu, co się wokół dzieje, konkretyzuje się w wymiarze codziennym, w stanie ciągłego zagrożenia. Jako swoiste antidotum narasta coraz większa liczba kabaretów, teatrzyków o dwuznacznych programach i tingel-tangli zachęcających do sposobu życia w myśl zasady „carpe diem”. A równocześnie coraz częściej krążą po ulicach bojówki, których członkami są ludzie skupieni wokół niejakiego Adolfa Hitlera, nawołującego do rządów silnej ręki. Z Hitlerem nikt się jeszcze wprawdzie poważnie nie liczy, ale daje on w sposób dobitny — za pośrednictwem pałek i pięści swoich ludzi — znać o swym istnieniu... Hitler jest jeszcze słaby, ale szermuje atrakcyjnymi dla wielu argumentami; ilu mieszkańców Niemiec ulegnie w przyszłości tej argumentacji?

Głównymi bohaterami „Kabaretu” są przybysze z zewnątrz, obserwatorzy zachodzących wypadków: kontestująca, pozbawiona ciepła rodzinnego panna z dobrego amerykańskiego domu, występująca jako piosenkarka na deskach podejrzanych berlińskich kabaretów, oraz młody angielski naukowiec-lingwista przybyły do Niemiec dla „doszlifowania” języka. Są oni osobami całkowicie niezależnymi i mogącymi w każdej chwili wybrać drogę do rodzinnego kraju, gdzie mają zapewnione, odpowiednie dla ich klasy i pozycji, warunki materialne.

W „Jaju węża” sprawa jest już bardziej skomplikowana: nieznaną bliżej z pochodzenia ex-cyrkownia, występująca jako piosenkarka w najniższej klasy kabaretach, oraz jej amerykański szwagier, również cyrkowiec, ale obecnie bez żadnego zatrudnienia, pozostają w ścisłej zależności finansowej od otaczających ich warunków. I jeden, i drugi film łączą sekwencje kabaretowe z nader śmiałymi scenami. Ale jeśli „Kabaret” jest swego rodzaju drapieżnym i dosadnym „musicalem”, wykładającym swe zdanie na temat narodzin faszyzmu w sposób rysowany grubym konturem, i pozycji „kawa na lawę”, przy pomocy humoru i drwiny, to „Jajo węża” przedstawia się jako ponury dramat duszy. Nie tylko jednostki, ale również dramat duszy narodu. Bob Fosse woła w „Kabarecie”: patrzcie jak to wyglądało w samych początkach! Ingmar Bergman próbuje dojść, jak to się stało, że widoczny dobrze dla każdego w przezroczystym jaju węża groźny zarodek mógł spokojnie przetrwać okres inkubacji, aby następnie wychynąć na świat ze straszliwą siłą.

W roku 1923, gdy dzieje się akcja filmu, pierwszy pucz hitlerowski został łatwo stłumiony. Ale w dziesięć lat później Hitler miał dojść jednak do władzy...

Lecz o co właściwie Bergmanowi chodzi; o hitlerizm czy też o istotę faszyzmu? O jego podłoże, na którym wykiełkowało tak dobrze

ziarno rzucone przez przyszłego Führera? Dla profesora Hansa Vergerusa z „Jaju węża”, prowadzącego swe nieludzkie eksperymenty w podziemiach kliniki św. Anny, które mają na celu wynalezienie odpowiedniego preparatu na czynienie ludzi bezwolnymi, Hitler jest tylko zdziwczalym pędem wyrastającym z pnia wyznawanej przez Vergerusa „idei”. Czy chodzi tylko o problem filozofii przemocy w wydaniu niemieckim, czy też w szerszym, ogólnowiatowym znaczeniu?

Zza trywialnych kupletów śpiewanych na scenie „Kabaretu” wiało grozą; z „Jaju węża” przebiega przez cały czas groza i przerażenie nad losem i kondycją ludzkiego rodzaju, bez nadziei na poprawę. Może dzieje się to w sposób niezupełnie zamierzony przez reżysera, może to „wina” stylistyki, jaką zastosował w tym filmie? Nawiazuje wszak Bergman w „Jaju węża” wyraźnie do dzieł Fritza Langa, do opowiadanych przez niego historii „Doktora Mabuse” czy „M — Mordeca”, do nurtu zwanego „niemieckim ekspresjonizmem filmowym” z wszystkimi jego niezwykłościami, makabrycznościami i duszącą, ciężką atmosferą. Pomysł, oczywiście, oryginalny i sprawdzający się szczególnie w doskonałych zdjęciach Svena Nykvista. Ale niemiecki ekspresjonizm lat dwudziestych, pomnożony o bergmanowską filozofię rozpaczliwego bytowania, to chwilami zbyt wiele jak na ramy jednego ekranu. Jeżeli miałbym wybierać pomiędzy „Kabaretem” a „Jajem węża”, wybrałbym pierwszy z nich. Choć istotnie, trudno je porównywać, choć Bergman, którego tak bardzo cenię, przewyższa niebotycznie skalę talentu Boba Fosse'a!... chociaż z zainteresowaniem i napięciem oglądałem „Jajo węża”.

A jak by się miał do „Jaju węża” film Michaiła Romma „Zwyczajny faszyzm”? A jak — „Zmierzyć bogów” Viscontiego?

M. D.

KRONIKA KULTURALNA

Wieloletni naukowiec, świetny dydaktyk, autor wielokrotnie wznawianych „Głównych zagadnień i kierunków filozofii” oraz innych, znaczących w tym obszarze wiedzy, opracowań — prof. dr hab. Zdzisław Cielicki z UMCS obchodził 25-lecie działalności naukowej. Z tej okazji w Bibliotece Głównej Uniwersytetu otwarto w kwietniu wystawę dorobku twórczego Profesora. Prześlamy wyraziły szacunek i życzenia dalszych osiągnięć.

Przy końcu kwietnia w Zaborowie pod Warszawą odbyło się I walne zebranie delegatów Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. Przewodniczącym tej społecznej organizacji ponownie wybrano prof. dr. hab. Wiktora Sina, w skład Zarządu Głównego weszła m. in. dr Alicja Kurzątkowska z Lublina. (Szczegóły w następnym numerze „Kamena”).

Roman Totenberg, skrzypek amerykański polskiego pochodzenia, artysta zaprzyjaźniony z Karolem Szymanowskim, wystąpił w kwietniu w sali studyjnej lubelskiej rozgłośni radiowej. Honorarium wyniosło i dochód z koncertu zasiliły fundusz rewolucyjny Starego Miasta w Lublinie.

Na ten sam cel zainicjował zbórkę pieniędzy wśród pracowników uczelni i studentów Senat UMCS. Słowo s'aje się ciałem, co w połączeniu z energią inż. arch. Jadwigi Jamiolkowskiej, generalnego projektanta Starego Miasta, kreśli przed naszymi zabytkami niezłą perspektywę.

Scena Plastyczna Teatru Akademickiego KUL obchodziła swoje dziesięciolecie. Oryginalny teatr Leszka Mądziaka nie wymaga rekomendacji, więc tymczasem składamy zespołowi serdeczne gratulacje.

Przy końcu kwietnia odbył się w Lublinie, po raz czwarty z kolei, ogólnopolskie Konfrontacje Młodego Teatru. Tegoroczna impreza miała charakter przeglądu, a nie konkursu, co chyba dobrze, ponieważ bardziej zgodne z amatorską naturą tego ruchu. Czekamy na opinie fachowców.

350 osób z ośmiu gmin województwa lubelskiego wzięło udział (27 kwietnia) w inauguracji ogólnopolskiej akcji „Ratujemy parki wiejskie”, porządkując XVIII-wieczny park w Garbowie. Dobra sprawa, żalować tylko należy, że inicjatywy takiej nie podjęto piętnaście — powiadzmy — lat temu. Obecnie parki wiskie (czyli podworskie) przedstawiają się kiepsko, o! kiepsko.

Kilkanaście już lat trwa rekonstrukcja i adaptacja obiektu zabytkowego we Włodawie, który przewidziano na Muzeum Etnograficzne Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. W gruncie rzeczy nie nowego, znamy wiele przykła-

dów takich sianazarnych remontów, ale w tym przypadku można się zdenerwować, jako że w oczekiwaniu na zakończenie prac konserwatorsko-budowlanych niszczyły liczne ekspozyty, które zdążyło zgromadzić i myśla o muzeum.

Berliński atlas świata z lat dwudziestych — 2 tys. zł. zegar ścienny — 4 tys. zł. bogato zdobiona waza fajansowa — 12 tys. zł. — oto niektóre cenne ekspozyty wystawione na kwietniowych targach staroci w Lublinie, która to impreza nie cieszyła się zresztą zbyt dużym wzięciem u publiczności, co oczywiście nie znaczy, że maleje zainteresowanie wytworami dawnego rzemiosła artystycznego, czy w ogóle tzw. starociami, albo dziełami sztuki malarskiej. Za dobry obraz XIX-wieczny można dziś otrzymać 200—400 tys. zł.

Obradował X Walny Zjazd Stowarzyszenia Księgarzy Polskich Okręgu Lubelskiego, skupiającego 223 członków z czterech województw regionu. Przypuszczamy, że zastanawiano się bardziej nad tym, skąd wziąć książki, niż nad tym, jak je sprzedać. Przewodniczącym Stowarzyszenia ponownie wybrano Longina Cypla.

20-lecie działalności obchodził Zespół Pieśni i Tańca Akademii Rolniczej w Lublinie, mający na swym koncie liczne i udane występy w kraju oraz w dziesięciu państwach Europy. Nasze gratulacje (także dla prof. dr hab. Janusza Welenty, który jest kuratorem zespołu z ramienia Senatu AR).

Od 27 do 29 kwietnia Zamość gościł uczestników pierwszego ogólnopolskiego konkursu gitary klasycznej szkół muzycznych II stopnia, zorganizowanego przez Zamojskie Towarzystwo Muzyczne i Ludowy Instytut Muzyczny w Łodzi. Kilka dni później Tomaszów Lubelski urządził, po raz trzeci z kolei, turniej tańca towarzyskiego o puchar Roztocza, w którym wzięły udział pary z kilkunastu miast kraju. Program obejmował standardy i tańce latynoamerykańskie, m.in. niesmiertelna rumba. A dzieło to się w Tomaszowskim Domu Kultury, który w tym roku skończył 15 lat swego pracowitego istnienia.

Stanisław Jaderzak (nagroda specjalna ZSM) i Henryk Makarski (wyróżnienie) — oto lubelscy laureaci konkursu na reportaż pt. „Dojrzenie”, ogłoszonego przez „Tygodnik Kulturalny”, wydawnictwo „Książka i Wiedza” i ZG ZSM. Gratulujemy.

Piosenka „Nie podkoczysz stary” Jerzego Machnickiego (muzyka) i Kazimierza Pawelka (słowa) została uznana za najlepszą wśród tych, które śpiewano podczas VIII Zakopiańskich Konfrontacji Kabaretowych. Zresztą i wszystkie piosenki kabaretu lubelskiego „Jeż” doczekały się wysokiej oceny i nagrody ZG Tow. Kultury Teatralnej. Natomiast Jerzy Beer, szef innego kabaretu lubelskiego, „Miksury”, otrzymał w Zakopanem nagrodę za najlepszą. Życzymy uczestniczącej kawence,

ANTYGRAWITACJA — BILET DO KOSMOSU?

MINĘŁO już prawie 10 lat od czasu gdy Henry Wallace uzyskał dwa patenty USA (nr 3626605 i 3626606) na coś, co początkowo traktowano jako szalony pomysł z dziedziny fantazji naukowej — na maszynę wytwarzającą pole antygravitacyjne, a więc taką maszynę, której działanie powodować będzie, że znajdujące się w jej otoczeniu przedmioty, a także ona sama, zaczną zmniejszać swój ciężar w stopniu zależnym od woli kierującego nią operatora.

Odpowiednie sterowanie maszyną winno doprowadzić do tego, że zniweluje ona w ogóle działanie siły ciężkości i wówczas wszystko, co się w obszarze jej działania znajdzie, nie będzie ważyć nic. Taka sytuacja pozwoliłaby na transport ogromnych ciężarów praktycznie bez użycia jakichkolwiek wydatków energetycznych, za wyjątkiem naturalnie tych, które służą będą do napędzania samej maszyny.

Nie koniec na tym — zwiększenie mocy działania maszyny spowodowałoby, że wytwarzana przez nią energia, niwelująca przyciąganie ziemskie, po przekroczeniu jego wielkości sama mogłaby się stać siłą napędzającą każdy wyposażony w nią pojazd, który chciałby wznieść się ponad powierzchnię Ziemi praktycznie na dowolną wysokość, a także, wykorzystując pola grawitacyjne innych planet naszego układu słonecznego, poruszać się w obszarze międzyplanetarnym.

Jest to więc maszyna, która spełniałaby najśmielsze oczekiwania naszych transportowców, konstruktorów, budowniczych, pilotów, kosmonautów oraz wszystkich podróżników — a więc maszyna naszych marzeń, których, jako realności, nie mieliśmy zbyt wielkiej nadziei urzeczywistnić. Nic więc dziwnego, że patenty Wallace potraktowano jako zupełnie fantastyczne — po czym... całkowicie zignorowano.

Tymczasem ostatnio społeczeństwo, najpierw Anglii, a później całego świata, zbulwersowane zostało wiadomością, że profesor Eric Laithwaite z Imperial College w Londynie po latach żmudnych badań doszedł, niezależnie od swego amerykańskiego poprzednika, do podobnych rezultatów.

Okazało się, że niektóre ciała, wykonane z odpowiednio dobranych materiałów (wiadomo tylko, że jednym ze składników tych ciał jest miedź), gdy znajdują się w warunkach szybkiego ruchu względem siebie, wytwarzają wówczas specyficzne pole siłowe. Jeśli pola to zmusić do odpowiednio szybkiej oscylacji przez poddanie go ruchowi obrotowemu, wówczas ciężar obracającego się układu zaczyna się zmniejszać w skutek miejscowego „przesłaniania” sił przyciągania ziemskiego.

Tak więc ignorowane początkowo patenty Wallace'a stały się przedmiotem ożywionej dyskusji w świecie naukowym Stanów Zjednoczonych, a obserwatorzy twierdzą, że jego wynalazek jest w chwili obecnej przedmiotem poważnych, lecz tajnych, badań naukowych, prowadzonych przez wojskowe instytucje naukowe Ameryki. Wojskowi mogą teraz żałować, że patenty te zostały przyznane i wobec tego są one dostępne dla każdego.

POCZTA literacka



Jan G. Gorzów Wielkopolski. Prosi Pan o druk kilkunastu fraszek pochodzących z opublikowanego w „Iskrach” tomiku „Szczypta swawoli”. Nie uczynimy tego. Nie robimy przedruków z tego, co już poszło w postaci książkowej. Na publikację czekają inni autorzy z utworami nigdzie nie opublikowanymi, a w pełni zasługującym na to. A może zamierza przedrukować rezultat cechującej Pana „szczypty swawoli”?

Andrzej B. Ulanów. Jeśli początkujący autor przysyła jednocześnie wiersze i opowiadania, to niemal niechybny znak, iż żadna z tych form nie wzięła go w swe wyłączne władanie. Co może powiedzieć o wierszach, gdy ich tylko dwa? Wszystko, a zarazem nic. Polecałbym bliższy kontakt z tematem, a zwłaszcza z tym sposobem widzenia zgrzeszonej codzienności, jaki prezentuje „Odpust”. Ale na dłuższą metę, zwłaszcza w poezji, groziłoby to tzw. „małym realizmem”. Miałby on większe szanse w opowiadaniach, ale cóż z tego, skoro właśnie jedne opowiadanie jest ucieczką w sen, w bajkę. Budzi Pana powódź. Spotyka Pan dziewczynę. Płynięcie. Potem okazuje się, że dziewczyna jest syreną, a Panu naraz wyrastają białe pławne między palcami. Na tym opowieść się urywa, a właśnie tu powinien nastąpić jakiejś konsekwencji tych metamorfoz.

W. Ch. Zamość. „Niedawno była w telewizji sonda na temat współczesnych poetów. Proszę sobie wyobrazić, nikt z indagowanych na ulicy Warszawy przechodniów nie mógł podać ani jednego nazwiska z tego kręgu. O czymś to chyba świadczy, prawda?” To ma być pańskim argumentem na mój zarzut, uczyniony w poprzednim Poczcie, że w wierszach Pana słychać echa Kochanowskiego i Mickiewicza. Na obronę swego i młodych poetów mogę powiedzieć tak: po pierwsze — naśladowanie starych sław nie gwarantuje, a raczej zmniejsza szanse epigona do minimum; po drugie — cztery wieki pracowały na sławę Mistrza z Czarnolasu, półtora na wielkość Mistrza Adama. A Pan chciałby młodych poetów od razu uczynić ulubieńcami ulicy. Poezja, sztuka w ogóle, to nie piłka nożna, gdzie wystarczy pare konów i już idol. Ciekawe, ilu przechodniów powie za 100 czy 150 lat, kto to był Boniek, Terlecki, Żmuda? Co do nowych Pana wierszy: gaduństwo i pretensjonalność nadal dominują. Nie wystarczy rzucić na papier swoich myśli, przeżyć, refleksji — trzeba z tego jeszcze uczynić poezję — takie uczucia, przetycia, refleksje i chandry przeżywać wszyscy. Nie ma ani kraty przeżycia poetyckiego w takim np. sześciolwierszu o ulicy:

Pełna zieleni, świergotu
zapachu majowych bzów,
Przysycona nektarem akacji
Ulica bawiących się dzieci,
Bezpiecznych, rozemnianych
Ufnych dziełką ufnością...

Jolanta L., Lublin. Prosi Pani o ocenę wierszy ojca, „który już od dziesięciu lat sporo czasu poświęca kultowi Kalliope”. Otóż, poza pewnym czytaniem w mitologii, wiersze te stanowią typowe „wtrątki literackie” słowulka dysponującego rezerwą czasu. Radzę podziękować w ojuie za zainteresowanie, bezdane świetna forma psychoterapii, wyzwolenie niespełnionych ambicji, czy też forma rozmowy ze sobą samym. Niezależnie od wartości tych utworów, ojciec zmagając się ze sprawami, przed którymi musimy schylić czoła. Jest to — cytuję:

zagubiony w drodze sens epoki
rzucony
na brudny ludzki los.

Nie wiem natomiast zupełnie — i pozostawiam to wyłącznie Pani — jak wyglądał od jego oczekiwania na druk. Pozwalam Pani rzucić całą winę na tego twardegłowego autora Poczty, który znowu się nie poznał...

Marian K. Fraszkom brak finezji, jadu, prawd ludzkich. Są niestety, toporne. „Jeżeli w potrzebie padasz komuś do nóg, nie zauważaj głośno, że śmierdzisz potem”. Po takiej „myśli” pierwszy odruch, to wietrzenie. Z okrzykiem: A kysz!

Bogdan M., Sołec. „Chciałbym się dowiedzieć, czy to, co ja piszę, można nazwać wierszami?”. Panie Bogdanie, odpowiadam krótko: nie, nie można. To nie są wiersze, choć kształtem udają wiersze. Powód, jeden z wielu:

Nie byłem nigdy tak samotny
jak dziś
Jestem jak
wymnianiec
sam.

Samozapalenie jakiegóż banalnego zdania na schodki wierszowe niczego nie daje.

Tomasz K., Włodawa. Są to nieudolne rymowanki „kwiatki-bławatki”. Niech Pan nie ma żadnych złudzeń, co do ich wartości. Zresztą odnośnie wrażenia, że te opinie, brzmiały jak wyrok, przyznaję Pan z lekkim sercem. Z takim samym, z jakim te utwory powstały.

H.P.

KRZYŻÓWKA

(nr 10)

Poziomo: 1. dalekopis, 4. płócienny daszek, ciastko lub arystokratka, 7. księgo-wa, 10. pozostaje na dnie i ściankach naczyń, 12. ekstrakt kawy zbożowej, 14. stan w Indiach, u nas kojarzący się z herbata, 16. mityczny lotnik, 18. zastłona okien-na, 19. pierwszy po wojnie polski radio-odbiornik, 21. węgierskie góry, 22. nihilizm narodowy, 23. początek biegu, 25. w oku się kręci, 27. droga bita, 29. płaz bezogono-wy, 30. miara pojemności, 31. miejscowość letniskowa nad Łwem, 33. wyspa koralo-wa w kształcie pierścienia, 36. jej obja-wem jest skorbut, 37. u stóp Śnieżki, 38. wieś Jalu Kurka.

Pionowo: 1. państwo w zach. Afryce, 2. wolna lekcja, 3. zjonizowany gaz, 4. pu-lapka bez wyścia, 5. Persja, 6. część świa-ta, 8. porażenie, 9. imię córki Konstantego Hldefonsa, 11. wykonuje gipsowe ozdoby architektoniczne, 13. urządzenie do nosze-nia wiał na ramionach, 15. polski szlach-ciura, 17. kamień ozdobny, 20. drobna mo-neta, 24. miasto nad Wołgą w obwodzie ka-linińskim, 25. wskrzeszony w biblii, 26. dawna nazwa wysp brytyjskich, 28. taki inny kotlet, 31. czar, 32. wieńczy czoło mi-strza i rosół, 34. zapora, 35. stolica Peru.

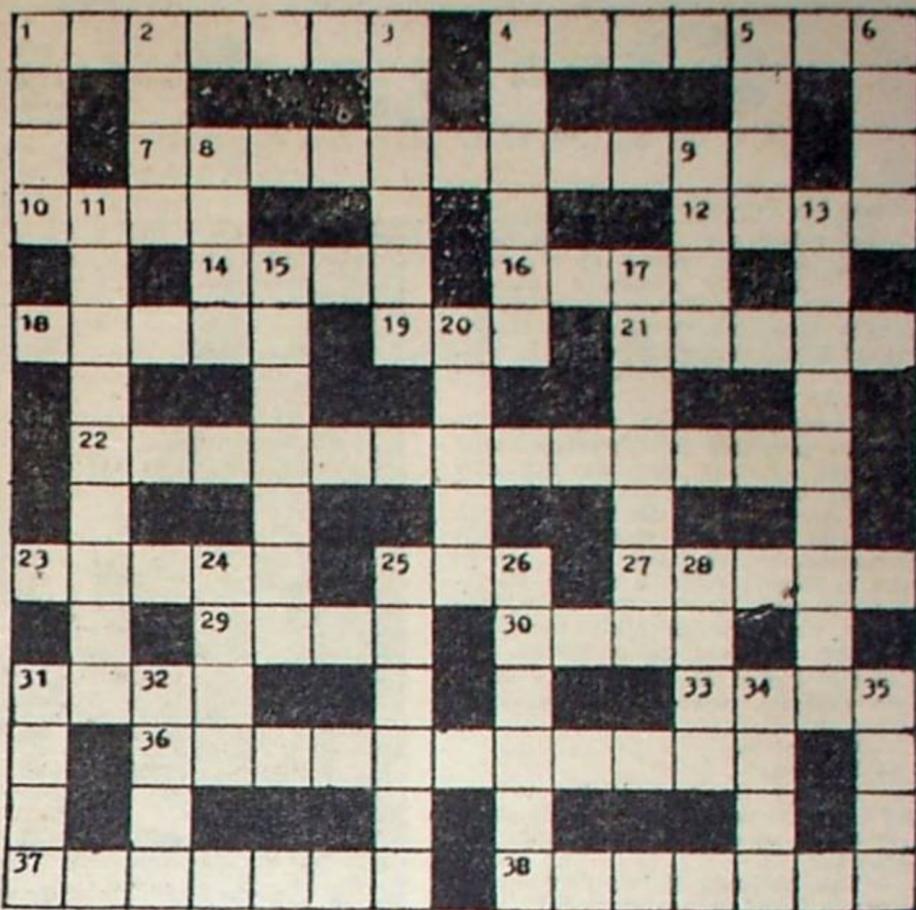
Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lu-blin). Wśród autorów prawidłowych roz-wiązań rozlosujemy bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 8

Poziomo: mikrobiologia, trupa, bordo, swoboda, Tanatos, Nisko, adres, opozycja, zastaw, korner, okazja, stopka, Marsjasz, rumba, Kanał, Inferno, Akwilon, Parys, córka, Starynkiewicz.

Pionowo: prawidło, Mazowsze, kabanos, obrus, izotop, Lyon, gust, apostata, Adyga, Kowno, otok, aria, tusza, Kampinos, nosze, Kawarec, Jablonka, Pulaski, skopek, ługa, Ryby.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki



nr 8 książki wylosowali: Maria Jedliczko 20-854 Lublin, Paganinięgo 12/84, Stanisław Kowalczyk 20-416 Lublin, Łazienkowska 14/4,

Stanisława Gaś 98-206 Pabianice, Bogoł 74/61, Stanisława Widz 23-200 Kraśnik, Świerczewskiego 4.



„O KRASNOSTAWSKIM RUCHU OPORU”

W imieniu swoim i mego współautora dziękuję za pozytywne i negatywne w ocenie naszej książki pt. „Walczymy na ziemi krasnostawskiej”, umieszczonej w numerze siódmym „Kamieny” z dnia 90 marca 1980 roku.

Tak jak u recenzenta Leszka Siemiona, podobnie u autorów lektura książki budzi niedosyt i zastrzeżenia. Powstało to przede wszystkim na skutek skrócenia przez redaktorów Ludowej Spółdzielni Wydawniczej z opracowania autorów i wbrew ich woli całego szeregu treści.

Szczególnie negatywnym tego rodzaju przykładem jest wyrzucenie z autorskiego opracowania treści związanych z walką o Zamojszczyznę. O szersze uogólnienie tej problematyki występowali tak recenzenci opracowania, jak również Redakcja LSW w swym piśmie z dnia 28 grudnia 1974 roku. Mimo to, i wbrew interwencji z dnia 15 czerwca 1979 r. u naczelnego redaktora, umniejszono w książce rolę obwodu krasnostawskiego w pomocy udzielonej skazanej na zagładę przez hitlerowski okupanta Zamojszczyźnie.

Część treści, nie dopuszczonych przez Wydawnictwo do publikacji w książce, załączam wraz z „erratą”, której nie dołączono do sprzedawanych książek. W tej „erracie” Wydawnictwo przyznaje się do niektórych swoich dopisków, na które nie wyraził zgody autorzy, gdyż są wątpliwe lub niezgodne z prawdą.

Paweł Czuba

„Z NOTATNIKA”

W związku z zamieszczoną w Waszym poczytnym piśmie, z dnia 2.03.1980 r. nr 5 (699) str. 2, artykule „Z notatnika”, dotyczącego m. in. zagospodarowania przedmiotów nietrwałych oraz czystości w pomieszczeniach sanitarnych — „Spolem” Wojewódzka Spółdzielnia Spożywców w Lublinie wyjaśnia, że został przeprowadzony remont kilku pomieszczeń w budynku administracyjnym. W wyniku remontu m. in. powiększono salę konferencyjną celem odbywania odpraw, narad, konferencji szkoleniowo-instrukcyjnych itp. dla zwiększonej liczby pracowników w związku ze zmianami organizacyjnymi. Dla powiększenia sali konferencyjnej zmniejszono pokój prezesa Zarządu.

W wyniku powyższego zaszła konieczność wymiany sprzętu w pomieszczeniu prezesa, gdyż dotychczasowy nie mieścił się na zmniejszonej powierzchni. Zbędne przedmioty nietrwałe zostały zagospodarowane w innych pomieszczeniach administracyjnych, socjalnych i warsztatowych. Potwierdza się również fakt, że Centrala „Spolem” wydała w roku 1978 i 1979 przepisy zabraniające sprzedaży majątku Spółdzielni pracownikom i innym osobom fizycznym.

W zakresie utrzymania czystości w pomieszczeniach sanitarnych — dokonano malowania wszystkich pomieszczeń w tym również sanitarnych. Wszystkie pomieszczenia sanitarne wyposażone są w umywalki i ręczniki oraz inne urządzenia służące do celów higienicznych. Pomieszczenia sanitarne są utrzymywane w czystości.

inż. Ludwik Antoniak
Wiceprezes Zarządu
ds. Techniki i Rozwoju

„CZY SPLONAŁ MILION?”

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Przemyślu wielokrotnie wyjaśniał okoliczności i wielkość strat poniesionych przez „Fredrum” w pożarze. Jedno jest pewne. Nie stęgną one na pewno miliona, a można je zamknąć kwotą kilku tysięcy złotych. Rozzeznanie przeprowadzone przez Zarząd

Towarzystwa oraz przez Wydział Kultury i Sztuki pozwoliło określić straty.

Splonęły zatem nie przedstawiające żadnej wartości stare kostiumy (nie używane od lat), rekwizyty i szczerki dekoracji oraz część materiałów repertuarowych — współczesnych, nie wykorzystanych i pozostawionych na zamku jako bezwartościowe, gdyż zamek, jak wiemy, znajduje się w remoncie. Wartościowe kostiumy, rekwizyty, akcesoria itp. zostały już wcześniej zabezpieczone przez Zarząd „Fredrum” w pomieszczeniach przydzielonych przez Urząd Miasta w Przemyślu.

Ukończenie rewioryzacji zamku w terminie przewidzianym na rok 1982 zależy wyłącznie od generalnego wykonawcy PP Pracowni Konserwacji Zabytków. Po zakończeniu prac remontowych Towarzystwo Dramatyczne im. A. Fredry ma zagwarantowany powrót do swojej starej siedziby. Władze starają się, aby termin ukończenia prac na zamku został bezwzględnie dotrzymany. Jednocześnie starają się udzielić maksymalnej pomocy tak finansowej jak i organizacyjnej Towarzystwu. Gwarantują również ze swojej strony pomoc w zakresie szkoleń artystycznych (aktorskich, reżyserskich, scenograficznych), jeżeli zostanie taka potrzeba.

Uważamy, że sama tradycja Teatr żyć nie może, a powinien przystosować się do wymogów otaczającego świata i rzeczywistości dnia codziennego. Siąd też celowym wydaje się podnoszenie umiejętności i znajomości rzemiosła teatralnego.

mgr Michał Aleksy Krupiński
Dyrektor
Wydziału Kultury i Sztuki

„PROCES KATÓW MAJDANKA W DÜSSELDORFIE”

Dropi Panie Jaworski, ucieczyłem się bardzo z przekładem mojego artykułu o Majdanku w Pańskim czasopiśmie, ponieważ dzięki temu niemiecki głos na ten trudny temat został w Polsce usłyszany. Moje najlepsze pozdrowienia.

Dr Dietrich Strothmann
polityczna redakcja
„Die Zeit” Hamburg

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Becherzyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasicki, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Henryk Patał (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stepien (fotoreporter) Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddziały RSW „PRASA — KSIĄZKA — RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:

- do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
- do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
- do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
- do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄZKA — RUCH” w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumerata ze złaceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄZKA — RUCH”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 90-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze złaceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla abonentów indywidualnych i o 100 proc. dla abonentów instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10-12 i piatki w godz. 14-15.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 2022A

Orzeł i reszka

REWALORYZACJA za kilka lat całkowicie zmieni lubelską Starówkę, plany są piękne. Ale kiedy niedawno zapytałem panią Irenę Szychową, przewodniczącą Komitetu Osiedlowego Samorządu Mieszkańców Starego Miasta, jak się tu teraz żyje ludziom, odpowiedziała:

— Jednym wspaniale, drugim fatalnie. Na przykład ja marzyłam, żeby mieszkać tutaj, a gdy się marzenie spełniło, okazało się, że to była pułapka. Ale są ludzie, dla których myśl, że trzeba będzie się stąd ruszyć, jest dramatem, bo na stare lata muszą taką rewolucję robić, a nie są do tego psychicznie gotowi. Są ludzie, którzy za wszystkie pierniki świata nie chcieliby mieszkać gdzie indziej.

— Mówi pani, że spełnienie marzeń było pułapką, więc jak się pani tu mieszka?

— Wspaniale.
— Dlaczego?
— Bo gdy się rano budzę, to widzę kogucika na Bramie Trynitarzkiej.
— Kiedy spadł, długo go pani nie oglądała.

— Tak, bo lubelscy inżynierowie nie wiedzieli, jak go zamocować i zrobił to pan Pędzisz, kowal z Milejowa. Taka właśnie jest specyfika Starego Miasta.

— Ta specyfika to również przekonanie, że na Starówkę nie ma po co przychodzić o zmroku, bo biją.

— Jakoś nikogo z nas, działaczy społecznych, tu nie pobili, chociaż chodzimy do różnych miejsc, do mełn. To mit, że tu biją. Natomiast fakt, że gnieźdzą się tu ludzie, którzy mają pokiereszowane życie, którzy mieli za mało siły, żeby się przenieść na LSM. A właśnie są, oczywiście, np. z powodu wspólnej kuchni i zagęszczenia mieszkań. Mamy dużo alkoholików i są dzieci, które chodzą głodne.

— Dlaczego chodzą głodne?
— Bo ojciec przepije wszystko i nie ma co jeść w domu.

— A jak tu jest z kanalizacją, z ubikacjami?

— Dużo jest podwórzowych, okropnych. Ale przy każdym remoncie jawi się kwestia — czy się opłaci, skoro dzięki rewaloryzacji za parę lat zrobi się cacko?

— Co samorząd może zdziałać w ułatwieniu ludziom życia, skoro o rewaloryzacji i wszystkim, co z nią związane, decydują wysokie władze, a nie wy?

— Przedtem, kilka lat temu, byliśmy tylko od nekania urzędników, ale teraz jesteśmy organem współdecydującym.

— W czym na przykład?

— Od 1 listopada ub. r. mamy wpływ na to, kogo kwaterować w opuszczonych mieszkaniach, chociaż dla szefa spraw lokalowych w mieście to utrudnienie.

— Mówi się, że po rewaloryzacji nie będą tu mieszkać ci, co teraz dewastują mieszkania. A może im brak pieniędzy na remonty?

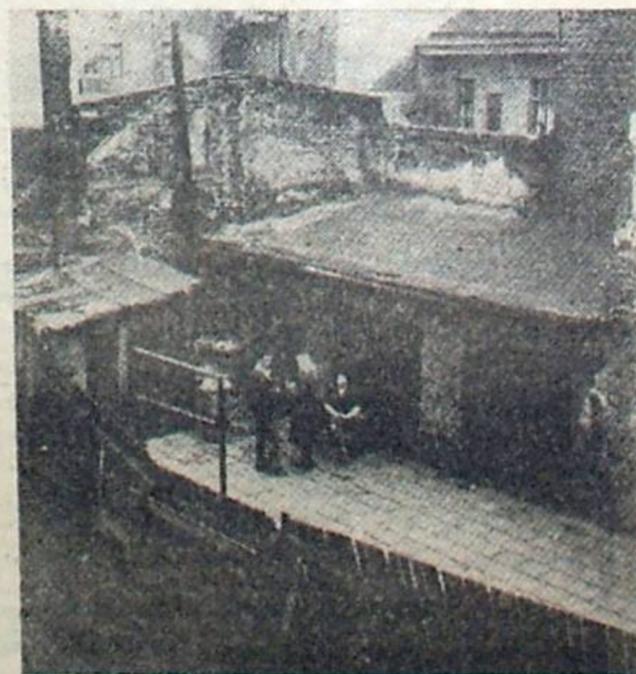
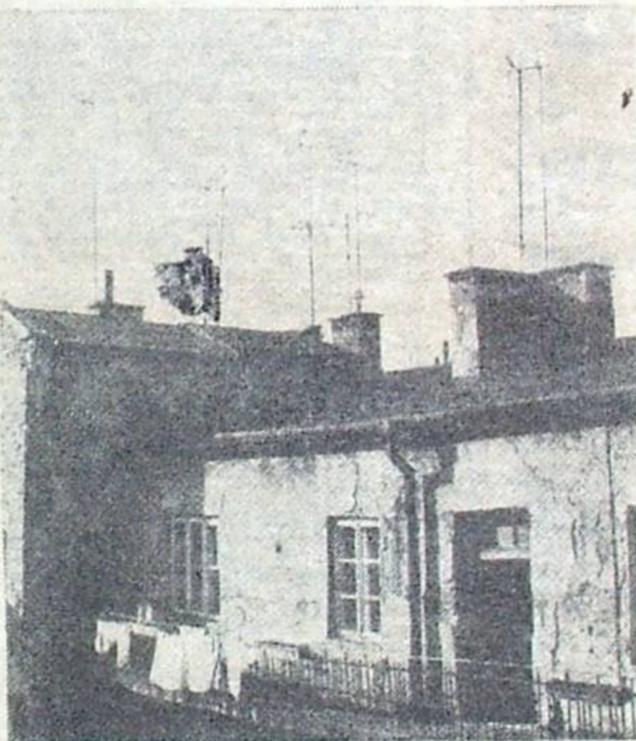
— Łatwo odróżnić dewastację od braku pieniędzy. Woda i mydło to nie luksus. Pan wąpi w samorząd, ale my stajemy w obronie ludzi słabych. Nie demonizujemy sprawy trudnego życia, bo większość z 5 tys. mieszkańców ma normalne rodziny. W moim odczuciu samorząd powinien tak pracować, żeby był niepotrzebny i mógł nie istnieć. Taka jest idylla na horyzoncie...

— ...Która się chyba nie spełni w ciągu 20 lat rewaloryzacji. A czy panią nie boli rozbieżność rzeczywistości i kolorowych, ciepłych obietnic do przyszłego kształtu Starówki?

— To nie jest tak, że są tylko ciepłe obietniczki. Rewaloryzacja to praca dla tytana. Myślałam kiedyś, że załatwić to może tylko pozytywny „gangster”, który umiałby pchać sorawę. Mamy szczęście, że działa taka kobieta, jak inż. Jamiolkowska, generalny projektant rewaloryzacji. Mamy szczęście, że prezydent Lublina tak tyra w tej sprawie, żeżdzi, wymusza, załatwia. I rzeczywiście trwa uparta wojna, żeby coś zrobić.

— A generalnie, co trzeba zrobić?

— Znaleźć moce przerobowe, nie więcej, bo ludzi do roboty mamy znających.



Zdjęcia ze Starego Miasta w Lublinie

Waldemar Stepień